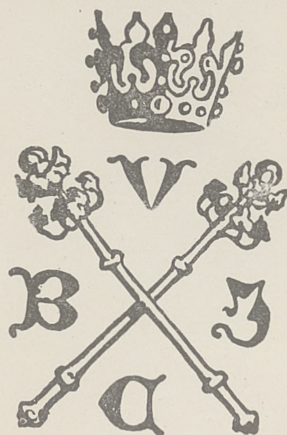

V
B
J
C

ADAM ASNYK.

BRACIA LERCHE

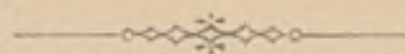
KOMEDYA W TRZECH AKTACH.



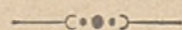
KRAKÓW.
NAKŁADEM WYDAWNICTWA „NOWEJ REFORMY".
1888.

Mieczysławostwu Pawlikowskim
Rodzicom chrzestnym tej książeczki
z najserdeczniejszą przyjaźnią
autor.

BRACIA LERCHE.



ADAM ASNYK.



BRACIA LERCHE.

KOMEDYA W TRZECH AKTACH.



W KRAKOWIE.
NAKŁADEM WYDAWNICTWA „NOWEJ REFORMY".
1888.





W DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ W KRAKOWIE
pod zarządem A. Szyjewskiego.

OSOBY:

TADEUSZ RADWAN, kapitan, lat 76.
STANISŁAW, jego syn, lat 50.
MALWINA, siostra Stanisława, lat 42.
IRENA, córka Stanisława, lat 23.
DZIUNIA (Wanda), wychowanka Malwiny, lat 16.
OTTO LERCHE, lat 45. } przyrodni bracia.
STEFAN LERCHE, lat 30. }
JULJUSZ PORAJ, lat 28.
JAN, służący.

Rzecz dzieje się na wsi, w W. Księstwie Poznańskiem, w domu Stanisława Radwana.





AKT PIERWSZY.

(Scena przedstawia pokój bawialny na wsi, z którego wyjście w głębi na ogród; po prawej i lewej stronie drzwi, prowadzące do innych pokojów. Za podniesieniem zasłony, kapitan siedzi przy stoliku z Juljuszem, dopijając czarną kawę — opodal na kozetce Malwina w okularach, zajęta jest kobiecą robótką).

SCENA I.

KAPITAN, JULJUSZ, MALWINA, później STANISŁAW.

KAPITAN *stawiając filiżankę*

Więc to prawda, Juljuszu, że już i Nałęcze zmuszeni zostali sprzedać swoją Łękę?

JULJUSZ.

Niestety, tak, panie kapitanie.

KAPITAN *z ubolewaniem*

Dobra, które przynajmniej trzysta lat były w posiadaniu ich rodu! *(Do Juljusza)* Któż nabył?

JULJUSZ.

Jakiś żyd z Berlina.

KAPITAN *z goryczą*

Naturalnie! Któżby inny, jeśli nie żyd, lub Niemiec. *(Z melancholią)* Jakie to zmiany! Przed pięćdziesięciu laty pełno było braci szlachty w sąsiedztwie: Pomiany, Ostoje, Starżowie, Godziemby, Nałęcze, otaczali nas wieńcem dokoła. — A dziś, któż w naszych stronach? — Juljusz na Zakrzówku i my w Dębowcu, ot cała parada. Czas mi już do trumny, żeby nie widzieć tego co jest i co dalej będzie.

MALWINA *z wyrzutem*

Ojczulku, nie mów tak, bo to nas bardzo boli.

JULJUSZ.

Panie kapitanie, nie trzeba tracić nadziei.

KAPITAN.

Ja jej nie traciłem i nie tracę, ale już iść do szturmu nie mogę. Cała moja pociecha, trzymać się w Dębowcu, jak w twierdzy, oblężonej dokoła przez wroga. *(Do wchodzącego Stanisława, głosem komendy)* Stasiu! Czy mury naszej twierdzy nie uszkodzone?

STANISŁAW *zmięszany*

O co pytasz, ojcze?

KAPITAN *niecierpliwie*

No, czy mnie nie rozumiesz? Pytam, czy jesteśmy bezpieczni na Dębowcu.

STANISŁAW *pokrywając zmięszanie*

Jak dotąd, nic nam nie grozi.

KAPITAN *surowo*

Co to znaczy: jak dotąd? Nie jak dotąd. ale nigdy, przenigdy! Oddając ci dziedziczny majątek, wymówiłem sobie, żebyś nie uronił ani morga ziemi. Gdybyś mnie zawiódł, nie przeżyłbym tego.

MALWINA.

Uspokój się, ojczulku, wszak widzisz, że żyjemy tak skromnie. Stanisław siedzi pilnie na roli, nie jeździ, nie gra w karty, nie ma więc najmniejszego powodu do obawy.

KAPITAN *uspokajając się*

To prawda.

STANISŁAW *nabierając odwagi*

Nie damy się.

KAPITAN.

To ci Nałęcze tak mi wleźli w głowę.

JULJUSZ.

Nie sztuka nie dać się, trzeba się jeszcze naprzód posuwać. Mój młyn parowy po kilku latach powinien mi dostarczyć środków na odkupywanie ziemi od Prusaków. To będzie bal, jak zakupię Strzegocin od Liebeskinda, a Poddębie od Abla.

KAPITAN.

No, no, gdzie cię twa fantazya nie unosi? w jednej chwili gotów jesteś zakupić cały powiat. Pilnuj lepiej, żeby ci twój młyn nie zmełł Zakrzówka na otręby.

Z ogrodu wejściem w głębi wchodzą Irena i Dziunia, obiedwie z bukiecikami kwiatów. Dziunia wpada z żywością, podaje w przelocie jeden kwiatek Juljuszowi i rzuca się gwałtownie na szyję Malwiny, którą ściska, ofiarując jej przyniesiony bukiecik. Irena spokojnie podaje swój kapitanowi, który ją całuje w czoło. Stanisław siada na boku, bierze dziennik i czyta.

SCENA II.

KAPITAN, JULJUSZ, MALWINA, STANISŁAW, IRENA, DZIUNIA.

KAPITAN *do Ireny*

Dziękuję ci, moje dziecię, że pamiętasz o mnie, ale kwiaty to nie dla starych.

MALWINA *do Dziuni, starając się od niej uwolnić*

Dość, dość, ty trzpiocie! puść mnie, bo mnie nareszcie udusisz.

JULJUSZ *odpowiadając kapitanowi*

Pan kapitan ma uprzedzenie do przemysłu. A jednak, jak sądzę, tylko przemysł uratować nas może.

IRENA.

Mówilicie panowie o przemyśle?

JULJUSZ.

A tak, właśnie mi się oberwało za mój młyn.

KAPITAN.

Nie jestem bynajmniej przeciwnikiem przemysłu. Ale nie wszyscy są do niego stworzeni; my Polacy,

jak dotąd najmniej. Zresztą, przemysłowiec powinien być wyłącznie przemysłowcem, a nie jednocześnie rolnikiem, archeologiem, politykiem, literatem i Bóg wie czem jeszcze.

JULJUSZ.

Wyraźna do mnie przymówka.

MALWINA.

W biednem naszem społeczeństwie, gdzie tyle do roboty, każda wybitniejsza zdolność musi pracować na rozlicznych polach.

KAPITAN.

I na żadnem nic porządnego nie zdziałać.

IRENA.

W tem zgadzam się z dziadkiem. Jestem za podziałem pracy.

JULJUSZ.

O, pani na wskróś przesiąknięta nowemi teoryami.

KAPITAN.

Nie wiadomo, jakiemi drogami te nowe poglądy przeciskają się do takich młodych główek. Moja wnuczka nie do sztuki i literatury, jak to dawniej bywało, ale zapala się do handlu, przemysłu, fabryk, wynalazków i marzy o podjęciu skutecznej walki o byt. *(Śmieje się).*

IRENA.

Ależ dziaduniu!

DZIUNIA.

Tylko się nie wymawiaj, że lubisz fabryki. Dałaś dowód, zachwycając się tak bardzo hutą szklanną panów Lerche.

MALWINA *dając napróżno znaki Dziuni*

Dziuniu!

KAPITAN.

To także przybysze, którzy wyparli naszych. Ale już od dawna rozpanoszyli się i wzbogacili na naszej ziemi.

IRENA.

O, oni temu nie winni, że nikt z Polaków nie był tak przedsiębiorczym.

KAPITAN.

Patrzcie, jaka filozofka. Ale co wam przyszło do głowy udawać się do tych Niemców?

MALWINA *tłómacząc*

Przejeżdżałyśmy przed kilku dniami przez Górkę, dziewczyny naparły się zobaczyć huty.

DZIUNIA.

To dosyć ciekawe. Irenka była w siódmem niebie.

KAPITAN.

No proszę. Tegoczesne panny zachwycają się nie śpiewem słowika i wonią kwiatów, lecz hukiem maszyn i wyziewami węgla. Ależ przynajmniej nie spotkałyście żadnego z właścicieli?

DZIUNIA.

Przeciwnie dziadziu.

IRENA.

Po hutach oprowadzał nas młody człowiek w bluzie, którego z początku wzięłyśmy za robotnika.

DZIUNIA *śmiejąc się*

I któremu ciocia Malwina chciała dać na piwo.

IRENA.

Pokazało się, że to był młodszy Lerche, co zresztą nie trudno było odgadnąć z rozmowy, ale co dziwniejsze, że wyrażał się jak najpiękniej po polsku, bez żadnego akcentu.

DZIUNIA.

Irenka nie mogła się nadziwić jego wykształceniu.

JULJUSZ *do Ireny*

Czy w rzeczy samej zwrócił uwagę pani?

IRENA *z uśmiechem*

Był tyle szczęśliwy! Ale też usłyszałam od niego wiele rzeczy, o których nie miałam pojęcia. Zupełnie inny świat stanął mi przed oczyma, świat wzgardzony przez nas, a nie pozbawiony jednak pewnej poezyi.

KAPITAN.

Widzisz mości poeto na co schodzą wasze dawne ideały. Dziś poezya, żeby się podobała pannom, musi być przedewszystkiem praktyczną.

DZIUNIA.

Ja jednak wolę poezyę pana Juljusza.

KAPITAN.

Dobrze żeś powiedziała. Będziemy spokojniejsi, wiedząc, jak potężny sprzymierzeniec przybywa nam w tobie.

DZIUNIA.

Dziadzio zawsze ze mnie żartuje. *(Podbiegając ku drzwiom ogrodowym)* Zdaje się że ktoś zajechał.

STANISŁAW *zrywając się niespokojnie*

Któżby to mógł być taki? nikogo się nie spodziewamy.

Wchodzi służący, przynosząc na tacy bilety wizytowe.

JAN.

Jacyś panowie przyjechali i oddali te bilety, zapytując czy wielmożni państwo w domu.

STANISŁAW *odbierając bilety, czyta*

Otto Lerche, Stefan Lerche. *(Pytająco)* Interes, czy wizyta?

KAPITAN.

Wywołaliśmy jak widzę wilka z lasu.

MALWINA.

Zkądże tym panom przyszło do głowy przyjeżdżać do nas?

KAPITAN *żartobliwie*

Widocznie są to ludzie dobrze wychowani. Złożyłyście im pierwszą wizytę w Górce, więc się odwzajemniają grzecznością.

MALWINA *z oburzeniem*

Byłby to szczyt arogancyi. Najlepiej ich nie przyjmować.

KAPITAN.

Drzwi polskiego domu stoją otworem dla wszystkich. Ja tylko, jako stary, mogę się obejść bez ich widoku. *(Do Juljusza)* Chodź Juljuszu, każę wyprowadzić ze stajni „Perełkę“, zobaczysz jakie ma chody.

STANISŁAW *do służącego*

Poproś tych panów.

Służący wychodzi drzwiami w głębi. Kapitan, wspierając się na ramieniu Juljusza, wychodzi z nim na prawo; we drzwiach w głębi ukazują się Otto i Stefan.

SCENA III.

STANISŁAW, MALWINA, IRENA, DZIUNIA, OTTO i STEFAN.

OTTO *głośno i rubasznie*

Zachęceni bytnością pań w naszym zakładzie....

STEFAN *z nieśmiałą uprzejmością*

A raczej jako sąsiedzi, których to było obowiązkiem....

OTTO.

Przyjechaliśmy....

STEFAN *kończąc*

Złożyć nasze uszanowanie. *(Stefan zbliża się do Ireny).*

OTTO.

I zapoznać się bliżej.

STANISŁAW *z odcieniem ironii*

Wdzięczni jesteśmy, że po tylu latach pomyśleliście panowie o sąsiadach.

OTTO.

My ludzie pracy nie mamy zwykle dość czasu, by go poświęcać na wizyty.

MALWINA *do Ottona z przekąsem*

Poświęcenie panów może i w tym razie będzie zbytecznem?

OTTO *swobodnie*

O nie, pani! I sąsiedzkie stosunki mają swoją wartość, szczególniej, *(zwraca się do Stanisława)* jeżeli się wiąże z niemi interes.

STANISŁAW *zdziwiony i zmięszany*

Interes? Czyżby do mnie?

OTTO *mrugając na Stanisława*

A tak, interes, co do którego chciałbym się porozumieć z panem. Rzecz wcale nie małej wagi.

STANISŁAW *zaniepokojony, zwracając się do kobiet i Stefana*

Pan Stefan, o ile od was słyszałem, pokazywał wam cuda przemysłu, oprowadzając po swej hucie. Jakkolwiek nie możemy się wywzajemnić czemś równie godnem widzenia, jednak okażcie mu dobre chęci i zaprezentujcie ogród i cieplarnie.

OTTO *krzywiąc się*

Ogród! cieplarnie! to kosztowna zabawka.

IRENA.

Nie wiemy, czy pan Stefan zechce.

STEFAN.

Ależ z największą przyjemnością; gdybym śmiał, sam prosiłbym o to.

MALWINA.

A więc chodźmy. *(Idzie w pierwszą parę z Dziunią, Stefan z Ireną za niemi).*

IRENA.

W zamian za tęczowe ognie szklannych baniek, pokażę panu moje ulubione kwiaty.

STEFAN.

Będę po królewsku wynagrodzony. *(Wychodzi drzwiami w głębi).*

SCENA IV.

OTTO i STANISŁAW.

OTTO.

Przystępuję wprost do rzeczy. Jako człowiek praktyczny, nienawidzę frazesów i obwijania w bawełnę.

STANISŁAW.

Tem lepiej dla mnie.

OTTO.

Lepiej dla nas obu, jeżeli pan tak samo będziesz się praktycznie zapatrywał.

STANISŁAW.

Więc o cóż idzie?

OTTO.

Majątek, którego pan jesteś właścicielem, postanowiłem kupić zaraz, chociażby dzisiaj.

STANISŁAW *zdziwiony*

Dębowiec! tę naszą siedzibę!

OTTO *spokojnie*

Tak panie, Dębowiec.

STANISŁAW.

Ależ ja go nie chcę sprzedać i nie sprzedam.

OTTO *ironicznie*

Dzisiaj być może, lecz jutro, za miesiąc....

STANISŁAW.

Nigdy! to ziemia moich przodków.

OTTO.

Ależ to frazes tylko!

STANISŁAW *z dumą*

To nie frazes panie Lerche!

OTTO.

A cóż innnego? Czyż to, że Dębowiec jest ziemią pańskich przodków, zmienić może istotny bieg

rzeczy i uchronić od sprzedaży zadłużoną własność? Porzućmy sentymenty.

STANISŁAW *siląc się na spokój*

Zgoda! Są uczucia, które w obec obcych powinny kryć się na dnie serca.

OTTO.

Wybornie! nas germanów cywilizacya oduczyła już oddawna liczyć się z uczuciami. Wiemy, że tylko siła daje zwycięztwo.

STANISŁAW.

I siła nieraz musi się cofnąć przed wyższem prawem moralnem. Dębowca stanowczo nie sprzedam.

OTTO.

Lepiej posiadaną rzecz samemu sprzedać, niż czekać, aż ją obcy sprzedadzą.

STANISŁAW.

Mam nadzieję, że do tej ostateczności nie przyjdzie. Dębowiec obciążony jest hypotecznie zaledwie do trzeciej części wartości.

OTTO.

Zapominasz pan o wekslach, a te przenoszą połowę pozostałych dwóch części.

STANISŁAW.

Firma Hermann i Blau poprzestaje na procentach.

OTTO.

Poprzestawała dotąd, lecz nagle zabrakło jej gotówki i weksle puściła w obieg. Kupiłem pańskie — są tu — *(uderza ręką w wydobyty pugilares).*

STANISŁAW *z rozpaczą*

To zdradziecki podstęp! Chciałeś mnie pan mieć w swoich rękach!

OTTO.

Posłuchaj mnie pan spokojnie i z rozwagą. Gdybym chciał postępować bezwzględnie, mógłbym doprowadzić do licytacyi i kupić Dębowiec za bezcen. Ja jednak wolę nabyć go z wolnej ręki i zapłacić panu tyle, że po strąceniu długów zostanie wam jeszcze około pięćdziesięciu tysięcy.

STANISŁAW.

Czy to przez sentyment dla nas?

OTTO.

Uchowaj Boże. Przymusowa sprzedaż mogłaby się przewlec, a mnie chodzi o pośpiech w interesie. Przytem mój Stefanek rzucałby się, gdybym chciał licytować polskiego szlachcica. No cóż? zgadasz się pan, — pięćdziesiąt tysięcy talarów na stół gotówką.

STANISŁAW *stanowczo*

Chociażby i dwa razy tyle, uczynić tego nie jestem w stanie.

OTTO.

A to dla czego? Czy pan zmysły stracił?

STANISŁAW.

Chcesz, żebym powiedział dla czego?

OTTO.

Rozumie się.

STANISŁAW.

Sprzedażą rodzinnego majątku zabiłbym ojca mego. Dla pana jest to może także frazes.

OTTO.

Naturalnie. Ludzie na zawołanie nie umierają.

STANISŁAW.

W każdym razie, w imię tego frazesu wolę dotrwać póki będzie można.

OTTO.

To polski sentymentalizm! Nie chcesz pan ojcu zrobić dziś przykrości, a jutro gotujesz mu nędzę.

STANISŁAW.

Mogę znaleźć sposoby wybrnięcia.

OTTO.

Po co się łudzić! *(Dobywa z kieszeni pugilares i papiery)*. Logika rachunku może pana otrzeźwi.

STANISŁAW *oglądając się niespokojnie i spostrzegłszy w głębi nadchodzącą Irenę ze Stefanem, żywo, przyciszonym głosem*

Przejdźmy do kancelaryi, tam będziemy mieli papier, ołówki i pewność, że nikt nam nie przeszkodzi.

OTTO *zbierając papiery*

Zgoda! Interesy powinny się załatwiać w kantorze.

STANISŁAW.

Służę panu. *(Wychodzą na prawo, Irena i Stefan wchodzą z głębi).*

SCENA V.

IRENA i STEFAN, w końcu MALWINA.

STEFAN *prowadząc dalej zaczętą rozmowę*

Może to jest bolesnem, ale jest niestety koniecznem przejściem. To, co pani tak słusznie nazywasz zaćmieniem ideału w naszych czasach, — wypłynęło nieuchronnie z bankructwa owego jednostronnego idealizmu, który, nie licząc się ze środkami, mniemał, że dość jest wierzyć i pragnąć, aby stwarzać cuda na ziemi.

IRENA.

Tworzył on też prawdziwe cuda w swoim czasie.

STEFAN.

Tak, dopóki cała ludzkość kroczyła pod jego sztandarem, czekając ziszczenia zapowiedzianej przez niego złotej ery wolności, równości, braterstwa i uniwersalnego szczęścia. Ale gdy się okazało, że żadna magiczna formułka nie jest zdolną przekształcić warunków bytu, ani odmienić odrazu natury ludzkiej, nastąpiła bezzwłocznie reakcya. Mocniejszy zapragnął korzystać ze swojej mocy i rozwielmożnić się kosztem

słabszych. Za tym przykładem każdy spieszył zaopatrzyć się w broń skuteczną — i miejsce dawnych bożyszcz zajęły rozum, nauka i zimny rachunek, bo to są siły, zapewniające w walce zwycięztwo.

IRENA.

Nie lekceważę tych potęg, ale po za niemi są jeszcze inne siły, których zapoznanie pomści się kiedyś na dzisiejszych zwycięzcach. Piękno, szlachetność, cnota, poświęcenie, tradycya nawet, czyż to nie wyższe jeszcze duchowe czynniki życia ludzkości? Czyż pan nie sądzisz, że ci, którzy nadużywają przewagi fizycznej siły i rozumu z pogwałceniem prawa i słuszności, nie zaszczepiają w krew narodu trucizny, co prędzej czy później musi mu zgotować rozkład i upadek? Zwycięztwo zaś przypadnie w udziale tym szlachetniejszym pierwiastkom ludzkiego ducha.

STEFAN *w zamyśleniu*

Może pani masz słuszność. I ja mniemam, że ten czas przyjdzie. Pierwej jednak postęp uprzątnąć musi wiele zbutwiałych pozostałości, nawet tę, stawianą tak wysoko przez panią rodową tradycyę.

IRENA.

Cóż pan możesz jej zarzucić?

STEFAN.

Utrwala przesądy, odgradza murem chińskim, wychowuje typy oschłe, bezserdeczne, pełne kastowych uprzedzeń i pogardy dla drugich.

IRENA.

Gdzieżeś pan takie typy widział?

STEFAN.

Mam byś szczerym?

IRENA.

Proszę o to.

STEFAN.

Nie trzeba daleko sięgać. Panna Malwina.

IRENA.

Ciotka moja? *(Stefan potwierdza skinieniem głowy).* O, nie znasz jej pan wcale. Ma ona wprawdzie swe uprzedzenia i śmiesznostki, bo któż ich nie ma, ale za to nie tylko nie jest bez serca, jak pan mniemasz, ale przeciwnie, kochającą bez granic i zdolną w imię uczucia do najwyższych poświęceń.

STEFAN.

Do poświęceń?

IRENA.

Posłuchaj pan. Młoda i piękna, jak tego dziś jeszcze są ślady, zdradzona przez narzeczonego, który się z inną ożenił, wzięła w opiekę jego dziecko i dobrowolnie skazała się na staropanieństwo, aby poświęcić się wychowaniu Dziuni.

STEFAN.

Więc ta młoda osoba nie jest krewną?

IRENA.

Sierota. Matka zmarła, dając jej życie, a ojciec wkrótce także — rozstając się z tym światem powierzył swe dziecię tej, którą zdradził.

STEFAN.

To przynosi zaszczyt sercu panny Malwiny.

IRENA.

Przekonywasz się więc pan, że można być pod wpływem tradycyi a nawet przesądów i być zdolną przytem do ofiary z życia całego.

STEFAN.

Pani odkrywasz przedemną nowe blaski, czyste i opromieniające naturę ludzką, budzisz we mnie lepsze porywy, wywołujesz drzemiące w mej pamięci wspomnienia dziecińśtwa. Matka moja....

IRENA *z zajęciem*

Matka pana?

STEFAN.

Była także Polką. Kochała mnie, pieściła, uczyła rodzinnego języka.

Z lewej strony wchodzi Malwina, nie widziana przez nich.

MALWINA *do Ireny*

Irenko, dziadek cię potrzebuje. *(Do Stefana)* Przepraszam pana! *(Bierze za rękę Irenę i uprowadzając, mówi do niej na boku)* To długie sam na sam z Niemcem, jest co najmniej niewłaściwem. *(Wychodzi Malwina z Ireną).*

SCENA VI.

STEFAN sam, później OTTO.

STEFAN *patrząc za odchodzącemi z żalem.*

Uprowadziła ją, żeby się zbytecznie nie bratała z Niemcem, — a jednak nie mogę jej brać tego za złe. Czemże ja dla nich jestem? Nieprzyjacielem, nachodzącym zbrojno ich ziemię *(zamyśla się).* Co się ze mną dzieje? Zostałem zwyciężony i podbity. Dziwny to świat, rozpadający się w gruzy, a jednak taki piękny!

Z prawej strony wybiega Otto, zmierzając żywo ku drzwiom ogrodowym.

OTTO *spostrzegając Stefana, z gniewem*

Jedziemy! Jakże ten naród ma żyć, kiedy rachować nie umie. Pokazałem mu czarne na białem, wyliczyłem do ostatniego feniga, że za lat parę musi wyjść z Dębowca na czysto, a on....

STEFAN.

I cóż?

OTTO.

Nie chce sprzedawać, nie wierzy w ruinę i czeka cudu *(śmieje się).*

STEFAN.

A gdybym cię prosił mój bracie, żebyś się zrzekł zamiaru nabycia tych włości.

OTTO *z oburzeniem*

Co? czy zwaryowałeś? Wszakże w majątku tym są jedyne na całą okolicę lasy, nieoszacowane w przy-

szłości dla naszego interesu. Zresztą uwięziłem już w tym celu znaczną sumkę.

STEFAN.

Pieniądze można łatwo wycofać.

OTTO.

Ale Otto Lerche nie cofa się tak łatwo, gdy raz co postanowi. Zresztą, co za rozkosz wyprzeć tę polską szlachtę z ich siedziby i o krok jeden dalej posunąć sztandar cywilizacyi i wielkości Niemiec!

STEFAN.

Właśnie te gwałtowne podboje są mi wstrętnemi.

OTTO.

Wiem, wiem. Udajesz pozytywistę, a w głowie twojej aż się roi od romantycznych absurdów.

STEFAN.

Nazywaj to jak chcesz, ale uczyń zadość mej prośbie.

OTTO *stanowczo*

Nie mogę.

STEFAN.

Choćby chodziło o mój spokój, i o moje szczęście?

OTTO *lekceważąco*

Tra-la, tra-la-la. *(Po chwili namysłu, patrząc znacząco na Stefana)* Ej chłopcze, czyś ty się nie zadurzył czasem w tej polskiej szlachciance?

STEFAN *zawstydzony*

Bracie....

OTTO *machając ręką*

Rozumiem. Nie potrzebujesz mówić, twój rumieniec mówi za ciebie. *(Zaczyna szybko chodzić po pokoju i zatrzymując się nagle z komiczną powagą przed milczącym Stefanem)* Powiedz przynajmniej, cóżeś w niej znalazł szczególnego, bo ja nic nie widzę.

STEFAN *z zapałem*

Jest zachwycającą!

OTTO.

Zachwycającą? cóż znowu! Takie to chude.

STEFAN.

Twarz klasycznej piękności, a jaki wdzięk, jaka dystynkcya.

OTTO.

Niech mnie djabli porwą, jeżelibym się tego domyślił, a przecież patrzyłem także.

STEFAN.

Nie zwracałeś pewnie uwagi.

OTTO *kiwając głową*

No, proszę! Mnie się wydała czemś tak nikłem, bladem, niepoczesnem! Wygląda, nieprzymierzając jak piankowa fajeczka. Nie ma prawie co wziąć w rękę, a ten w niej tyle wdzięków odnalazł.

STEFAN.

A jaki umysł głębszy!

OTTO.

Co tam umysł! Z pewnością nie zna się na kuchni. *(Rozważając)* Gdzie ją tam porównać można z naszą landratówną. To mi panna! Szeroka w krzyżach, wzrost wspaniały, zdrowa, rumiana, a jakie ręce i stopy, wszystko fundamentalne. Przytem, co za wychowanie, jakie przepyszne knedle umie robić!

STEFAN.

Nie nęcą mnie tego rodzaju powaby i przymioty.

OTTO.

A szkoda! Byłoby może lepiej. *(Chodzi dość szybko zamyślony po pokoju i zatrzymuje się znów przed Stefanem).* Więc ona ci się tak bardzo podoba?

STEFAN.

Nieskończenie. Czuję, że już innej kobiety nie będę mógł kochać.

OTTO.

Terefere. To głupie gadanie. *(Chodzi żywo po pokoju, potem przystanąwszy, z nagłą decyzyą)* No, kiedy chcesz, to się z nią żeń! *(Widząc osłupienie Stefana)* Cóżeś tak oczy na mnie wytrzeszczył? Mówię wyraźnie: kiedy chcesz, to się żeń. Zabrać szlachcicowi polskiemu i wioskę i córkę, to także dobry pomysł!

STEFAN.

Ja miałbym się ożenić z Ireną?....

OTTO.

Kiedy ci się tak podoba, a ja przystaję...

STEFAN.

Ale ona nie zechce! Rodzina nigdy się nie zgodzi.

OTTO *z politowaniem.*

Jakiś ty głupi! Niby to Stefan Lerche jest partyą do odrzucenia. Przyjmą z pocałowaniem ręki. Wszakże mają nóż na gardle. Choćby dziewczyna trochę grymasiła, ojciec postara się ją przekonać.

STEFAN.

Nie chciałbym, żeby ją zmuszano. Wolałbym się jej wyrzec, niżby miała iść za mnie naprzekór swemu sercu.

OTTO.

A to zabawny chłopak! Boi się, żeby jej nie zmuszano. Przecież to dla niej wielki los na loteryi. Dziewczyna może robić ceregiele, bo polskie szlachcianki lubią się drożyć, ale w głębi duszy będzie szczęśliwą.

STEFAN.

Ja jeszcze nie śmiem wierzyć, że to możliwe.

OTTO.

Wierz lub nie wierz, to mi wszystko jedno. Zdaj się tylko na mnie. Już ja to wszystko za ciebie przeprowadzę. *(Po chwili).* Wiesz, te Radwany to stara szlachta, znaczą tyle, co nasze grafy.

STEFAN.

To mnie najmniej obchodzi.

OTTO.

A dla mnie właśnie w tem największy szpas. Ostatnia dziedziczka starożytnego rodu Radwanów, żoną potomka prostego kolonisty, to wcale nieźle! Frau Lerche geboren von Radwan. *(Rozkoszując się)* von Radwan!.. Jak ci się to podoba?

Z prawej strony wchodzi Stanisław.

SCENA VII.

OTTO, STEFAN, STANISŁAW.

STANISŁAW.

Panowie tu sami. Przepraszam jak najmocniej, byłem pewny, że jesteście w ogrodzie, w towarzystwie kobiet.

OTTO.

Nieźle się stało, żeśmy tu zostali sami. Porozumieliśmy się ze sobą i oto nasuwa się nam nowa kombinacya. Widzisz pan, *(wskazuje na Stefana)* ten oto młody człowiek postanowił ożenić się z pańską córką.

Stanisław okazuje najwyższe zdziwienie.

STEFAN *przestraszony*

Ależ ja nic nie postanowiłem!

OTTO *gniewnie*

A tylko co?

STEFAN.

Ja mogę pragnąć jedynie tego związku, jako najwyższego szczęścia.

OTTO.

Niby to na jedno nie wychodzi. Po co rzecz obwijać w niepotrzebne frazesy! *(Do Stanisława)* Poprostu, prosimy pana o rękę córki dla Stefana.

STANISŁAW.

Zamiary panów są dla mnie taką niespodzianką...

OTTO *(z zadowoleniem)*

Szczęście zawsze przychodzi niespodzianie, tylko trzeba go umieć w lot chwytać.

STANISŁAW.

Pozwolcie mi panowie zebrać myśli, — zaskoczony zostałem tak nagle....

OTTO.

Nie chciałeś pan sprzedać Dębowca, masz teraz wyborny punkt wyjścia. Zostaniesz w posiadaniu ziemi i unikniesz katastrofy. Ojciec pański nie dowie się nawet co groziło.

STANISŁAW *zamyślony*

Moja córka....

OTTO *przerywając*

Przypuszczam, że wolałaby polskiego panka, lecz gdy jej przedstawimy prawdziwy stan rzeczy, zgodzi się z pewnością. A zresztą mój brat, — spojrzyj pan na

niego, — trzy łokcie bez jednego cala, muskuły jak stal, skończył uniwersytet w Berlinie, *(znacząco)* pod-oficer pruski, reprezentuje już trzykroć sto tysięcy talarów. A gdy się jego brat nie ożeni... a zdaje się, że się nie ożeni... to co? Wtedy Stefan będzie miał więcej, niż trzy razy tyle. No, przyznaj pan, że wasze szlachectwo może być drogie, lecz znowu niewarte dużo więcej.

STANISŁAW.

Nie mogę zataić, że zachodzą wielkie trudności. Cała rodzina moja....

OTTO.

Nie będzie chętną, — mniejsza o nią. Na to posiadamy energię, żeby trudności usuwać.

STANISŁAW.

Moja córka jest panią swej woli, nie mogę jej zmuszać.

STEFAN.

Zmuszać ją? za nic w świecie! Raczej zrzec się najdroższych marzeń, niż widzieć ją jako ofiarę, zniewoloną do nienawistnego związku.

OTTO.

Znów sentymentalne frazesy. Czyż to w naszych czasach panny gwałtem ciągną przed ołtarz? Każda szczęśliwa, gdy złapie sobie męża.

STANISŁAW *do Stefana*

Czy moja córka nic nie wie o pańskich zamiarach?

STEFAN.

Nigdybym się nie poważył....

STANISŁAW.

Od niej więc wszystko zależy. Ja nic stanowczego odpowiedzieć nie mogę.

OTTO.

Najlepiej zatem zawezwać pannę i kwestyę odrazu stanowczo rozstrzygnąć. Nie znoszę wątpliwych sytuacyj.

Stefan, który starał się powstrzymywać Ottona, odprowadza go na bok.

STANISŁAW.

Dla mnie to jedyny środek ratunku, lecz co ja jej nieszczęśliwy powiem? *(Dzwoni, wchodzi służący Jan. Bracia po cichu żywo rozmawiają).*

SCENA VIII.

OTTO, STEFAN, STANISŁAW, JAN, później IRENA.

STANISŁAW *do służącego*

Gdzie panna Irena?

JAN.

W ogrodzie z panną Malwiną i Wandą.

STANISŁAW.

Poproś ją do mnie, lecz samą. *(Służący odchodzi).*

STEFAN *chwytając żywo za kapelusz*

A zatem odjeżdżamy.

OTTO.

Nie widzę potrzeby, lepiej doczekać się rozstrzygnięcia.

STEFAN.

Sprawy tak drażliwe muszą się załatwiać jedynie między ojcem a córką, bez świadków.

OTTO.

Dobrze byłoby dopomódz ojcu, wyjaśnić położenie....

STEFAN.

Sama delikatność nakazuje... *(Ciągnie gwałtem Ottona).*

OTTO.

A to tchórz! boi się być świadkiem rozmowy! No, kiedy tak chcesz koniecznie, odjedziemy z niczem. *(Zwracając się do Stanisława)* W każdym razie będę prosił pana, abyś o postanowieniu córki dał nam znać natychmiast konnym posłańcem. Nie lubię pozostawać długo w niepewności.

STANISŁAW.

Dobrze! ale nawzajem prosić będę, abyście w razie, gdyby nie odmówiła, zechcieli zachować do czasu tajemnicę. Muszę bowiem usposobić przychylnie mego ojca.

STEFAN.

Zgadzam się na wszystko.

Wchodzi Irena.

OTTO *obserwując ją pilnie*

Muszę się jej dobrze przypatrzeć.

IRENA.

Ojciec mnie wzywał?

STANISŁAW.

Tak. Ci panowie wyjeżdżają, chcieli się pożegnać.

IRENA *do Stefana.*

Panowie już odjeżdżacie?

STEFAN.

Musimy. *(Stoi zmięszany. Irena podaje mu rękę, którą on nieco dłużej zatrzymuje w swej dłoni).*

OTTO *obserwując ją ciągle, do siebie*

Co on w niej tak szczególnego upatrzył?

STEFAN *do Ottona.*

Bracie, czas na nas.

OTTO.

Zaraz, zaraz. *(Ściska rubasznie za rękę Stanisława, wyciąga rękę również do Ireny, która nie podaje mu swojej, poprzestając na ukłonie).*

STEFAN *do Stanisława ściskając jego rękę.*

Żegnam pana. *(Oddaje raz jeszcze głęboki ukłon Irenie i spiesznie zdąża ku drzwiom w głębi).*

OTTO, *który stał jakiś czas z wyciągniętą ręką, pośpiesza za nim i odwracając się jeszcze we drzwiach, patrząc na Irenę — półgłosem*

Frau Lerche geboren von Radwan, to brzmi wcale nie źle! *(Odchodzi ze Stefanem).*

SCENA IX.

STANISŁAW, IRENA.

STANISŁAW *ze wzruszeniem i nieśmiało*

Ireno!

IRENA.

Słucham cię ojcze.

STANISŁAW *do siebie*

Słowa więzną mi w gardle!

IRENA *zdziwiona jego wahaniem*

Masz mi co ważnego powiedzieć?

STANISŁAW *drżącym głosem*

Ciężko to ojcu oskarżać się przed własnem dzieckiem!

IRENA.

Ty się chcesz oskarżać? W takim razie nie słucham.

STANISŁAW.

Muszę ci wyznać prawdę. *(Zbierając się na odwagę)* Chcąc powiększyć majątek, straciłem go. O jakże byłem nieostrożny!

IRENA *po chwili*

Jest to bolesny cios wprawdzie, jednak potrafimy znieść go mężnem sercem. Co do mnie więcej mnie boli twoja rozpacz, niż strata majątku.

STANISŁAW.

Szlachetne dziecię! i ty mi nie złorzeczysz?

IRENA.

Jak mogłeś coś podobnego przypuszczać! *(Z pieszczotą)* Nie martw się ojczulku. Odwagi!

STANISŁAW.

I ja zniósłbym może to nieszczęście z rezygnacyą, ale — Dębowiec musi być sprzedany!

IRENA *z boleścią*

Ach!

STANISŁAW.

A ojciec mój....

IRENA *z rozpaczą*

Biedny dziadek, zapomniałam o nim. To okropne!

STANISŁAW.

Pojmujesz teraz całą grozę położenia.

IRENA *po namyśle*

Czy już nie ma żadnych środków zaradzenia?

STANISŁAW *ociągając się*

Żadnych. Wyjąwszy chyba jednego.

IRENA *z uradowaniem*

Jest jeszcze jeden środek i ty oddajesz się rozpaczy?

STANISŁAW.

Kiedyż on niemożliwy!

IRENA.

Niemożliwy? Dla czegóż?

STANISŁAW.

Przekonasz się sama. Młodszy Lerche....

STEFAN.

Stefan?

STANISŁAW *kończąc*

Oświadczył się o twoją rękę.

IRENA *zdziwiona i zmięszana*

On? tak nagle?

STANISŁAW.

Panowie Prusacy nie robią sobie z nami wiele ceremonii.

IRENA.

Nie raczył się nawet zapytać mnie, co myślę. Przyjechał jak kupiec po towar!

STANISŁAW *z westchnieniem i rezygnacyą*

Ja też nie myślę moje dziecię żądać od ciebie tej ofiary, odrazu uważałem ją za niemożliwą.

IRENA *do siebie*

Nie dał mi ani słowem poznać, co zamierza.

STANISŁAW.

Nie mogłem ci tylko zataić naszego położenia i oświadczyn pana Lerche. Małżeństwo z nim ocaliłoby Dębowiec.

IRENA.

Nie spodziewałam się tego po nim. Wydawał mi się człowiekiem zdolnym do delikatnych uczuć.

STANISŁAW.

Nie pozostaje więc, jak odpisać czemprędzej, że odmawiasz stanowczo.

IRENA *spokojnie, z decyzyą*

Mylisz się ojcze. Przyjmuję.

STANISŁAW *z najwyższem zdziwieniem*

Co? Chcesz się poświęcić dla nas? *(Po chwili).* Nie, moje dziecko, to być nie może! Postanowienie twoje przyszło za nagle, pod wpływem chwilowego wrażenia. Żałowałabyś potem, a ja miałbym sobie do wyrzucenia, żem ci nie dał czasu do namysłu.

IRENA.

Nie będziesz potrzebował nic sobie wyrzucać' mój ojcze. Pan Stefan Lerche oświadczył się o moją rękę, a ja go dobrowolnie przyjmuję. Wszak mi nie będziesz bronił?

STANISŁAW.

Rozważ to wprzód dobrze moje dziecko. Zostawiam cię samą. Jeśli po głębszym namyśle nie zmienisz zdania, przyjmę twe poświęcenie. *(Odchodzi na prawo).*

SCENA X.

IRENA sama.

IRENA.

Poczciwy ojciec! Pragnąłby i boi się, sądzi, że to dla mnie zbyt ciężka ofiara. *(Z mocą)* Gdyby

była najcięższą, jeszczebym ją poniosła, ażeby ostatnie dni dziadka nie zostały zatrute najkrwawszą dla jego serca zgryzotą. Zresztą, pan Stefan Lerche nie jest wcale tak strasznym. Wstyd mi nawet przyznać się przed sobą, że zrobił na mnie wrażenie. Może się on bardzo podobać. Nie mogę się tylko z tem wydawać, bo dla Polki, sympatyzować z Prusakiem, fi! to brzydko. Wprawdzie on w połowie tylko Niemcem, a kto wie, czemby mógł być później? *(Zamyśla się, — wbiega z głębi Dziunia).*

SCENA XI.

IRENA i DZIUNIA.

DZIUNIA.

Jak to dobrze, że już te Niemcy odjechały. Będziemy swobodne. Możemy zagrać teraz w krokieta z panem Juljuszem.

IRENA.

Zagrajcie sami.

DZIUNIA *trzepiąc*

A ty nie chcesz! Zbyt wielka z ciebie sensatka. Może ci nieznośni Lerchowie w zły humor cię wprawili? Ach jacy oni śmieszni! Szczególniej ten starszy, bo młodszy ujdzie jeszcze, tylko niezgrabne ma ruchy. Wiesz, co pan Juljusz powiedział? żartował ze mnie, że ten starszy przyjechał do mnie w konkury; jak można pozwalać sobie takich żartów! Gdyby taki brzydki Prusak śmiał się zbliżyć do mnie, tobym mu oczy wydrapała.

IRENA.

Zostałabyś milionową panią.

DZIUNIA.

I musiałabym siekać sznycle, cerować bieliznę i wycierać podłogi.

IRENA.

A ty wolisz grać w krokieta z panem Juljuszem lub czytać powieści?

DZIUNIA.

O tak! powieści, w których się bardzo kochają, a w końcu wszystkie panny wychodzą za mąż z miłości, — tylko, rozumie się, nie za Prusaków.

IRENA.

Oj ty trzpiotko!

DZIUNIA *zaglądając przez drzwi do ogrodu*

Oho! już pan Juljusz przygotował krokieta. *(Do Ireny)* Nie chcesz grać? *(Na znak odmowny Ireny)* To dumaj sobie nad swymi Lerchami, niech ci się w nocy przyśnią. *(Wybiega do ogrodu).*

SCENA XII.

IRENA, później STANISŁAW, w końcu służący.

IRENA *podchodzi ku drzwiom na prawo, staje w nich i zagląda.*

Biedny ojczulek siedzi tak zgnębiony. Trzeba zakończyć jego niepokój. *(Woła przez drzwi)* Ojczulku! *(poczem wraca na środek sceny).*

STANISŁAW *wchodząc.*

Wołałaś mnie Irenko?

IRENA.

Tak. *(Przynosi na stół papier, atrament i pióro).* Chciałam cię prosić, abyś siadł i napisał do panów Lerche.

STANISŁAW.

Że odmawiasz.

IRENA.

Że się zgadzam.

STANISŁAW.

Szlachetne dziecko. Poświęcenie twoje....

IRENA *żywo przerywając.*

Ani słowa o poświęceniu mój ojcze!

STANISŁAW.

Zdjęłaś wielki ciężar z mego serca. *(Zasiada do pisania).*

IRENA.

Mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

Stanisław skończywszy pisać, wkłada list do koperty, adresuje i dzwoni, — wbiega służący.

STANISŁAW *do służącego.*

Wysłać ten list natychmiast konnym posłańcem do panów Lerche w Górce.

Służący odchodzi.

IRENA *uśmiechając się*

Córka już sprzedana, ale Dębowiec uratowany.

STANISŁAW *biorąc ją w objęcia*

Przebacz mi dziecię moje!

Koniec aktu I.



AKT DRUGI.

(Pokój jak w pierwszym akcie.)

SCENA I.

MALWINA, DZIUNIA.

MALWINA.

Ależ to niemożliwe! Uroiłaś coś sobie w twej główce.

DZIUNIA.

To nie urojenie, to czysta prawda, jak cioteczkę kocham! Słyszałam, co wujaszek mówił z Ireną.

MALWINA.

Podsłuchiwałaś? To nie ładnie.

DZIUNIA.

Moja cioteczko, ja nie chciałam wcale podsłuchiwać. Byłam tylko na drzewie na wiśniach, gdy wujaszek z Ireną nadeszli.

MALWINA.

Taka dorosła dziewczyna i drapie się po drzewach, jak źle wychowany chłopiec. Wstydź się!

DZIUNIA.

To też ja wstydziłam się pokazać wujaszkowi i przyczaiwszy się, mimowoli słyszałam wszystko. Myślałam, że spadnę z drzewa, jakem się dowiedziała, że Irena tak jak po słowie. A gdy wujaszek zalecił jej najgłębszą tajemnicę do czasu, nawet przed ciocią i przedemną, to mi serce zaczęło bić tak głośno, że byłam pewną, iż usłyszą. Na szczęście nie zauważyli mnie wcale.

MALWINA.

Brat mój miałby oddać córkę Niemcowi? To nie do pojęcia.

DZIUNIA.

Ja nie pojmuję Ireny, że się mogła zgodzić tak prędko. Zawsze myślałam, że wyjdzie za pana Juljusza i tak się tem cieszyłam! Pan Juljusz to przecież zupełnie co innego, niż Lerche. Najprzód dobry szlachcic polski, a potem jaki miły, jaki szlachetny, jaki wykształcony! pomimo całej mądrości swojej, nie wstydzi się bawić ze mną i pomagać mi we wszystkich figlach. To mi człowiek!

MALWINA.

Ja także sądziłam, że te dwa serca są stworzone dla siebie. Byłam pewną, że on jej nie jest obojętnym.

DZIUNIA *z zapałem*

Ależ ona go kocha cioteczko. Musi go kochać, to rzecz pewna!

MALWINA *zastanawiając się*

Dlaczegóżby przyjmowała innego?

DZIUNIA.

Albo ja wiem? Może się pokłócili.

MALWINA *po chwili namysłu, z niepokojem*

Domyślam się...

DZIUNIA.

Czego?

MALWINA.

No nic, powodów sprzeczki.

DZIUNIA *gwałtownie rzucając się na szyję Malwinie i ściskając ją.*

To też ty ich cirociu pogodzisz! Nie dopuść tego małżeństwa z Niemcem, każ jej iść za Juljusza, — ja tak sobie tego życzę!

MALWINA.

Pan Juljusz wprawdzie nigdy nie dał wyraźnie poznać swych zamiarów...

DZIUNIA.

Niby to tak łatwo się oświadczyć! Jabym się nigdy nie odważyła.

MALWINA.

Co ty pleciesz trzpiocie! — panny się nie oświadczają.

DZIUNIA.

Cóż mają robić, gdy mężczyźni w dzisiejszych czasach, jak dziadunio mówi, nie chcą iść do ataku. *(Wchodzi Irena).* A, otóż i Irenka.

MALWINA *do Ireny*

Dobrze żeś nadeszła, chciałam z tobą pomówić. Siądź tutaj przy mnie.

IRENA *zmięszana*

Ciocia zaczyna tak uroczyście, jakby coś ważnego się kryło.

MALWINA.

Może też się co kryje. *(Do Dziuni)* Dziuniu, idź do ogrodu. Zostaw nas same na chwilę.

DZIUNIA.

Dobrze cioteczko. *(Wybiega w podskokach, nucąc: „Leży Wanda w polskiej ziemi, co nie chciała Niemca").*

SCENA II.

MALWINA, IRENA.

MALWINA *chwytając z czułością obie ręce Ireny*

Wszak nie wątpisz o mojej miłości dla ciebie?

IRENA.

Jakżebym mogła! po śmierci matki zastępowałaś mi jej miejsce.

MALWINA.

Dwie was tylko mam, jakby rodzone córki, w których szczęściu pragnęłabym powetować wszystkie smutki i zawody przeszłości.

IRENA *całując ją w rękę*

Droga ciociu, nie trafiłaś na niewdzięcznice.

MALWINA.

Otóż posłuchaj co ci powiem. *(Z patosem)* Nie oddawaj nigdy ręki człowiekowi, któregobyś kochać nie mogła i nie poświęcaj prawdziwego szczęścia dla żadnych względów w świecie.

IRENA.

Zkąd przypuszczenie, żebym to uczynić miała?

MALWINA.

Nie żądam od ciebie żadnych zwierzeń, pragnę tylko przestrzedz cię, żebyś się nie stała ofiarą tak zwanego głosu rozsądku.

IRENA.

Ofiarą głosu rozsądku?

MALWINA.

Tak moje dziecię! Minęły te czasy, w których dziewczęta stawały się ofiarami egzaltacyi uczuć; dzisiaj grozi im odwrotne niebezpieczeństwo. Ze wszech stron uczą je wierzyć w nieomylność ludzkiego rozumu, rządzić się zimnem wyrachowaniem i lekceważyć każdy poryw serca. Powiadają im, że miłość,

to mrzonka i niepotrzebny zbytek w życiu, a główną podstawą szczęścia wygodny byt i znaczenie, jakie daje majątek.

IRENA.

Czy ciocia uważa mnie za taką materyalistkę?

MALWINA.

O to cię nie posądzam, mniemam tylko, że wpływy, które ciągle i wszechstronnie działają, zdolne są osłabić instynkt, ostrzegający przed niebezpieczeństwem. *(Stanisław wchodzi z prawej strony, staje i słucha niepostrzeżony).* Niejednej z was zdawać się może, że to, coby w osobistych celach uważała za niegodne siebie, staje się szczytnem i wzniosłem, jeżeli jest osłonięte pozorem poświęcenia dla drugich. Otóż może słowa moje weźmiesz za śmieszną egzaltacyę starej panny, ale ci powiedzieć muszę, że kobiecie nie wolno w żadnym razie wyrzekać się tego szczęścia, jakie daje prawdziwa miłość. Biada tej, która o tem zapomni; pomści się na niej własne jej serce, dopominając się po niewczasie o swe prawa i pozostanie jej na całą przyszłość niezapełniona niczem pustka życia, żal za dobrowolnie odepchniętem szczęściem i coraz uciążliwsze jarzmo obowiązku. *(Stanisław występuje naprzód).*

SCENA III.

MALWINA, IRENA, STANISŁAW.

STANISŁAW *z ironią*

Z siostruni, jak widzę, znakomita kaznodziejka na temat miłości.

MALWINA *z lekkiem podrażnieniem*

A bratu może to nie na rękę?

STANISŁAW.

Przyznaję. Nie życzę sobie, abyś zawracała głowę Irenie teoryami, zaczerpniętemi z romansów.

MALWINA *z przekąsem*

Gdy mądrość życiowa każe inaczej postępować.

STANISŁAW.

Niewątpliwie.

MALWINA.

Szczególniej, gdy nauczycielami tej mądrości są Niemcy, — panowie Lerche.

STANISŁAW *ze zdziwieniem*

Co? *(Gniewnie)* Irena ci powiedziała?

IRENA.

Mylisz się ojcze.

MALWINA.

Irena nie zdradziła się ani słowem; wiem wszystko od Dziuni, która słyszała waszą rozmowę w ogrodzie.

STANISŁAW.

Nieznośna dziewczyna, zawsze się tam znajdzie, gdzie niepotrzebna. Gdzie djabeł nie może, tam babę pośle.

MALWINA.

Bracie!

STANISŁAW.

Przepraszam. Nie chciałem cię obrazić. Jeżeli jednak wiesz wszystko, to powinnaś znać powody, jakie nas skłoniły.

MALWINA.

Może i wiem, ale dla mnie najważniejszem szczęście Ireny.

STANISŁAW.

I dla mnie ono nie jest obojętnem.

MALWINA *z ironią*

Pewnie więc zbadałeś jej serce i przekonałeś się, że się szalenie w tym Niemcu zakochała.

STANISŁAW.

Pan Stefan Lerche może się bardzo podobać.

MALWINA.

Doprawdy? Widzę, że się podobał papie, ale chciałabym słyszeć zdanie córki. *(Do Ireny żartobliwie)* No, przyznaj się Irenko. Może zostałaś tak oczarowaną przez kulturtregera, że bez niego żyć nie możesz? No, nie wstydź się, — powiedz!

IRENA.

Po co mnie tak dręczycie moi drodzy! Pozwólcie mi odejść! *(Odchodzi szybko).*

SCENA IV.

MALWINA, STANISŁAW.

MALWINA.

A widzisz! Jej odejście najwymowniejszą odpowiedzią.

STANISŁAW.

Tak! odpowiedzią na niedyskretne badania. Irenka ma swoją wolę.

MALWINA.

Lecz można ją przekonać, że jej obowiązkiem płacić ojcowskie długi.

STANISŁAW.

Malwino!

MALWINA.

Czyliż nie prawda?

STANISŁAW.

Ach! gdyby mi nie chodziło o spokój starca, którego nasza ruina zabićby mogła...

MALWINA.

Więc już do tego doszło?

STANISŁAW.

Nie potępiaj mnie siostro. Chciałem przymnożyć majątku....

MALWINA.

Nie pora teraz na wyrzuty, ale czyż nie ma innych dróg ratunku?

STANISŁAW.

Jakie?

MALWINA.

Widocznem jest, że Juliusza z Ireną łączy wzajemna skłonność.

STANISŁAW.

Juljusz tak dawno bywa, a nie zrobił żadnego kroku. Zresztą on także niezbyt świetnie stoi, — nie mógłby nas uratować.

MALWINA.

Choćby i tak było, nie godzi się poświęcać dziewczyny!

Z prawej strony wchodzi Jan służący.

JAN.

Pan rządca przyszedł na konferencyę, — czeka w kancelaryi.

STANISŁAW.

Dobrze, zaraz przychodzę. *(Sługa odchodzi, — Stanisław zwraca się do Malwiny)* Siostro, zaklinam cię, nie przeszkadzaj i pozostaw rzeczy swojemu biegowi! Kto może przewidzieć, co jest złem, a co dobrem? Czyliż wszystkie małżeństwa z miłości bywają szczęśliwe? *(Odchodzi na prawo).*

SCENA V.

MALWINA sama.

MALWINA *patrząc za odchodzącym*

To dziwne! Najlepszy w świecie człowiek, a z zimną krwią gotów zrobić z córki ofiarę. Zaprzepaściwszy rodzinny majątek, myśli tylko jak ujść odpowiedzialności. Jakim kosztem? — nie pyta. Co mam począć? Na Irenkę wpłynąć trudno, bo to silny i zamknięty charakter. Jeżeli uznała za konieczne

rzucić się w przepaść, — zrobi to z zamkniętemi oczyma. Cóż pozostaje? Pozwolić na jej zgubę, czy też otworzyć oczy mojemu ojcu i zadać mu cios stanowczy, którego może nie przetrzyma? Bolesny wybór! *(Zamyśla się).* Pójdę się pomodlić, żeby mnie niebo natchnęło. *(Odchodzi wolno w zamyśleniu drzwiami na lewo).*

SCENA VI.

DZIUNIA i JULJUSZ.

DZIUNIA *wchodzi z ogrodu wejściem w głębi.*

(Oglądając się, pytająco) Nie przeszkadzamy? A, nie, — konferencya skończona, nie ma nikogo. *(Odwracając się ku drzwiom)* Możesz pan wejść, panie Juljuszu.

JULJUSZ.

Czy pan kapitan jeszcze w swoich pokojach?

DZIUNIA.

Co pan się wiecznie pytasz o pana kapitana. Jako młody człowiek, powinieneś troszczyć się głównie o Irenę i o mnie.

JULJUSZ *uśmiechając się*

Panią już mam to szczęście widzieć. *(Z niejaką emfazą)* Zresztą obowiązek powinien iść zawsze naprzód przed przyjemnością. Stary żołnierz polski zasługuje na pierwszeństwo przed najpiękniejszą z kobiet.

DZIUNIA.

Słusznie pan powiedziałeś. Lubię, jak kto prawdę mówi bez ogródek. Ja także chciałam się pana wręcz o coś zapytać.

JULJUSZ.

Pytaj się pani.

DZIUNIA *staje przed nim z przybraną powagą.*

Dla czego pan po całym roku bywania u nas nie oświadczyłeś się o rękę Ireny? *(Chwila milczenia, poczem Dziunia śmieje się).* Ha, ha, ha, masz pan taką minę, jakbyś spadł z obłoków!

JULJUSZ.

Ależ pani strzelasz pytaniami jak z rewolweru!

DZIUNIA.

Więc się pan broń, bo zginiesz!

JULJUSZ.

Mam ginąć, to muszę się wyspowiadać.

DZIUNIA.

Tak, tak, spowiedź zupełna jak w godzinę śmierci, a ja naznaczę pokutę i przekonam się, czy będzie można udzielić rozgrzeszenia *(Z niecierpliwością)* No, zaczynaj pan!

JULJUSZ.

Znasz pani Jowialskiego Fredry?

DZIUNIA *z zawiedzionem oczekiwaniem*

Znam, znam, ale cóż z tego?

JULJUSZ.

Więc musisz znać i tę bajeczkę, którą recytuje Jowialski: „Osiołkowi w żłoby dano — w jeden owies, w drugi siano...“

DZIUNIA *przerywa klaszcząc w dłonie.*

Znam, znam doskonale. *(Recytuje)* „I to pachnie i to nęci, a oślina głową kręci“... *(Urywa i śmieje się serdecznie).* Więc to pan jesteś tym...

JULJUSZ

Osiołkiem, a raczej całym osłem.

DZIUNIA *śmieje się, potem nagle ustaje zawstydzona.*

Winszuję. *(Po chwili)* Muszę na to powiedzieć, co pani Jowialska mężowi: „Figlarz z jegomości“. Ale te figle źle się mogą skończyć. Zabiorą panu owies z przed nosa, a siano pokaże się niemożliwe do przełknięcia.

JULJUSZ.

Więc zakończenie tak jak w owej bajce: „Aż oślina pośród jadła z głodu padła“. *(Śmieje się).*

DZIUNIA.

I pan się śmiejesz z tak strasznej ewentualności?

JULJUSZ.

Płakać jeszcze byłoby zawcześnie.

Wchodzi służący Jan.

SCENA VII.

Ciż sami i JAN.

JAN *meldując*

Panowie Lerche.

DZIUNIA *do Juljusza*

Widzisz pan, przyjechali kupcy po owies.

JULJUSZ *żywo*

Co pani mówi!

JAN *urażony*

Et! panienka zawsze żartuje, to nie żadne kupcy po owies, przecieżbym ich nie meldował. To te bogate Niemcy z huty.

DZIUNIA.

Wiemy, wiemy. Idź, zawiadom wuja Stanisława.

Jan wychodzi na prawo, — wchodzą Otto i Stefan.

SCENA VIII.

DZIUNIA, JULJUSZ, OTTO i STEFAN.

OTTO i STEFAN *(kłaniają się Dziuni).*

DZIUNIA.

Panowie, jak widzę, jeszcze się nie znają.

STEFAN.

Nie mamy tego szczęścia.

DZIUNIA *przedstawiając*

Panowie Lerche, — pan Juljusz Poraj.

STEFAN *z uprzejmością*

Bardzo nam przyjemnie. Ze słyszenia znamy pana oddawna.

Juljusz zachowuje się obojętnie, również Otto.

DZIUNIA *z dumą*

Pan Juljusz, chociaż polski szlachcic, jest także do pewnego stopnia przemysłowcem. Założył młyn parowy.

OTTO *kończąc*

Który nieszczególnie idzie.

JULJUSZ *urażony*

Zkąd pan możesz sądzić o tem?

OTTO.

Ależ to rzecz wiadoma!

STEFAN *pojednawczo*

Możesz się mylić, mój bracie.

OTTO.

Co to, to nie. My się na tem rozumiemy. Zresztą, czyż mogło być inaczej? Uczyłeś się pan młynarstwa?

JULJUSZ.

Specyalnie mu się nie poświęcałem.

OTTO.

A pański plenipotent — bo pan na niewielkim majątku musisz mieć plenipotenta — także się na młynach nie rozumie?

DZIUNIA.

Pan Juljusz wziął plenipotenta, żeby dać utrzymanie ubogiemu krewnemu. To bardzo pięknie.

OTTO.

Może i pięknie, bo ja na piękności i na romansach się nie znam, ale całkiem niepraktycznie. Lepiej mu było płacić pensyę pod warunkiem, żeby się do interesów nie wtrącał. Zabawny ten polski przemysł! to prawdziwa komedya! Jeden urządza browar nie mając wyobrażenia o piwowarstwie, drugi to samo robi z młynem, inny się puszcza na trudniejsze jeszcze rzeczy; zostają potem na łasce piwowara, młynarza, których nawet skontrolować nie potrafią i dziwią się w końcu że tracą. *(Z szyderstwem)* Nie, panowie! Bawcie się, podróżujcie, romansujcie, politykujcie nawet, ale przemysł ten zostawcie nam!

JULJUSZ *do Dziuni*

A to brutal!

Wchodzi Stanisław z prawej strony.

SCENA IX.

Ciż sami i STANISŁAW.

STANISŁAW *ściskając się za ręce z Lerchami*

Przepraszam panów, że dałem czekać na siebie; miałem konferencyę z rządcą.

OTTO.

Nic nie szkodzi. Zajęcie, to rzecz główna. Myśmy się tu zabawiali rozmową.

DZIUNIA *na stronie*

Piękna mi zabawa! Pierwszy raz zapomniałam języka w gębie.

STANISŁAW *oglądając się*

Ale gdzież jest Irena?

DZIUNIA.

Widziałam ją w ogrodzie.

STANISŁAW *do Stefana*

Może zechcesz, panie Stefanie, odszukać moją córkę i przyprowadzić ją do nas.

STEFAN *uradowany*

Z największą przyjemnością *(zabiera się do wyjścia).*

OTTO *klepiąc po ramieniu Stanisława, który się z niechęcią usuwa*

Eine gute Idee! (Dobra myśl!)

DZIUNIA *skrobiąc marchewkę, do Juljusza*

A co będzie z owsem?

JULJUSZ *zamyślony*

Czyżby naprawdę...?

DZIUNIA *do Juljusza*

Nie myślę dotrzymywać towarzystwa temu gburowi. *(Głośno)* Panie Juljuszu, mieliśmy zameldować się kapitanowi.

JULJUSZ.

Służę pani. *(Skłania się lekko Ottonowi i wychodzi z Dziunią na prawo).*

SCENA X.

OTTO i STANISŁAW.

OTTO.

Dobrze, że sobie poszli. Możemy swobodnie pomówić o naszych interesach. Kiedyż ślub?

STANISŁAW.

Mówić o dniu ślubu byłoby jeszcze przedwcześnie.

OTTO.

Dlaczego przedwcześnie? Niby to my, ludzie pracy, mamy czas na próżne ceregiele! Chłopiec zakochany będzie wzdychał, tęsknił, tracił głowę i latał jak kot z pęcherzem do Dębowca, odrywając się od swych zajęć. To na nic! Miłość niezaspokojona, gorsza od choroby.

STANISŁAW.

Bardzo żałuję, że nie mogę na to poradzić. Uprzedziłem panów o konieczności przygotowania mego ojca.

OTTO.

Po co się na to oglądać? Zgodziłeś się pan, zgodziła się córka, — rzecz skończona!

STANISŁAW.

Jednak mój ojciec, zaskoczony nagle, mógłby się opierać. Ma on swoje uprzedzenia, które powoli przezwyciężać trzeba.

OTTO.

Któżby zważał na kaprysy zdziecinialego starca!

STANISŁAW.

Zapominasz pan, że mówisz o mym ojcu.

OTTO.

No no, nie gniewaj się pan! miłość synowska, szacunek dla wieku, to bardzo ładne. Ależ właśnie to się wszystko robi dla jego dobra, dla jego spokoju.

STANISŁAW.

Tak, ale chcąc to osiągnąć, trzeba, żeby sam przystał na zamierzony związek.

OTTO.

No, więc dobrze, ustępuję, jestem zgodny. Ileż czasu potrzebujesz pan na przygotowanie ojca?

STANISŁAW.

Ze dwa tygodnie.

OTTO.

Dwa tygodnie! to zadużo! ale niech i tak będzie. Za dwa tygodnie więc od dnia dzisiejszego naznaczymy dzień ślubu i to w jak najbliższym terminie.

STANISŁAW.

Wtedy pomówimy o tem.

OTTO.

Dębowiec aż do śmierci kapitana pozostaje nominalnie w pańskiem posiadaniu.

STANISŁAW.

Po cóż wchodzić w te szczegóły!

OTTO.

W interesach należy się jasno i dokładnie porozumieć. Wy, panowie Polacy, traktujecie niby te rzeczy idealnie, nie chcecie dotykać kwestyi pieniężnej, wstydzicie się okazać interesownymi — i cóż ztąd wypada? Następują obustronne zawody i owi idealiści za łby się w końcu biorą. Ja stawiam kwestyę wyraźnie: po śmierci kapitana, mój brat obejmuje Dębowiec ze wszystkiemi długami, wypłacając panu i pannie Malwinie po 40 tysięcy talarów, razem ośmdziesiąt. Gdybyś pan umarł przed swoim ojcem...

STANISŁAW.

Zkąd to przypuszczenie?

OTTO.

Trzeba wszystko przewidzieć. W takim razie czterdzieści tysięcy spada na żonę mego brata, jako na pańską córkę i wypłacamy tylko po śmierci kapitana 40 tysięcy pannie Malwinie. Zgadzasz się pan?

STANISŁAW.

Muszę!

Stefan wchodzi z Ireną.

SCENA XI.

STANISŁAW, STEFAN, OTTO, IRENA.

IRENA *skłoniwszy się lekko Ottonowi, idzie do Stanisława, całuje go w rękę i cicho z nim rozmawia.*

OTTO *zbliżając się do Stefana i trącając go łokciem*

I cóż? rozmówiłeś się wyraźnie z dziewczyną?

STEFAN.

Nie jeszcze! W stanowczej chwili zabrakło mi odwagi. Bałem się obrazić ją wyznaniem. Ma w sobie coś z królewskiego majestatu. Wydaje mi się tak nieprzystępną, że słowa zamierają na mych ustach.

OTTO.

Jesteś głupi! Kobiety zawsze lubią, żeby im śpiewać miłosne trele. Ale obejdzie się i bez tego. Na szczęście masz brata, który wziął ten interes w swe ręce i doprowadzi go do skutku.

STEFAN.

Tylko ostrożnie, Ottonie. Oni są przyzwyczajeni do form towarzyskich, do subtelnych odcieni, o których nie mamy wyobrażenia.

OTTO.

Nie bój się, zdaj to wszystko na mnie. *(Postępuje ku Irenie i wydobywa z kieszeni spore pudełko).* Chciałem, żeby Stefan sam wybrał i ofiarował pani jaki prezent godny jej wdzięków, ale ten doktor filozofii, ten zuchowaty podoficer pruski, któryby szedł z zimną krwią na armaty, tchórzy przed ślicznemi oczętami Polki. Boi się rozgniewać. Niby to piękne kobiety mogą się gniewać o piękne brylanty! Ja więc zmuszony zostałem wyręczyć go i ofiarować przyszłej żonie brata ten brylantowy naszyjnik. *(Otwiera i oddaje z rubaszną galanteryą pudełko).*

IRENA *nie przyjmując*

Pan Stefan miał słuszność. Przebaczy pan, ale tego daru przyjąć nie mogę.

Otto się zatrzymuje zdziwiony.

STANISŁAW *półgłosem do Stefana*

Polskie kobiety mają poczucie godności i nie pozwalają się traktować po kupiecku. Pański brat zbyt obcesowy.

STEFAN.

Ma najlepsze chęci. Brak mu tylko ogłady.

OTTO *pokazując ciągle otwarte pudełko*

Pani może myślisz, że to fałszywe kamienie? Nie pani, Otto Lerche nie jest tak schmutzig, tak małoduszny, żeby miał imitacye kupować. To są prawdziwe brylanty, najczystszej wody; zapłaciłem za nie tysiąc talarów. Mam przy sobie rachunek, mogę pokazać... *(Szuka po kieszeniach).*

IRENA.

Przykro mi bardzo, że mnie pan nie możesz, czy nie chcesz zrozumieć. Tembardziej przyjąć nie mogę, że jest to dar tak kosztowny.

STEFAN.

Nie naprzykrzaj się Ottonie. Nastawać dłużej byłoby niedelikatnością.

IRENA.

Wdzięczną panu jestem, że to uznajesz.

OTTO.

Ha, nie chcesz pani teraz? to trudno! *(Chowa do kieszeni).* Zostanie na dzień ślubu. Sama pani tylko tracisz na tem. Gdybyś przyjęła, to Otto Lerche w stanowczej chwili zdobyłby się jeszcze na wspanialszy prezent.

Z prawej strony wchodzi Dziunia i Juljusz.

SCENA XII.

Ciż sami, DZIUNIA i JULJUSZ.

Stefan na boku rozmawia z Ireną.

STANISŁAW *do Dziuni i do Juljusza*

Byliście u mego ojca? czy jest w dobrem usposobieniu? czy prędko przyjdzie do nas?

DZIUNIA.

Nie wiemy, bo wizyta nam się nie udała.

STANISŁAW.

Jak to?

JULJUSZ.

Wyproszono nas poprostu za drzwi.

DZIUNIA.

Spotkał nas ten straszliwy despekt; zastaliśmy bowiem ciocię Malwinę, która przyszła radzić się o coś kapitana.

STANISŁAW *do siebie*

Malwina u ojca? *(Zamyśla się, Stefan podchodzi do Juljusza).*

STEFAN *do Juljusza*

Mój brat pewno się naraził panu? *(Juljusz nie odpowiada, wzruszając lekko ramionami).* Trudno żądać od niego ogłady.

JULJUSZ *niedbale*

Zapewne.

STEFAN.

Ja nie chciałbym, żebyś pan miał o nas złe wyobrażenie; słyszałem o nim tyle dobrego, że radbym serdecznie zaskarbić sobie jego przyjaźń.

Otto zbliża się do Dziuni.

JULJUSZ *z emfazą*

U nas przyjaźń nie zawiera się tak łatwo. Przyjaźń u nas jest to rzecz wzniosła i święta, związek duchowy na śmierć i życie. *(Z lekceważeniem)* To nie tak jak u panów, którzy zaraz po trzecim kufelku piwa mówicie każdemu: mein lieber Freund.

STEFAN *z pewnym żalem*

Dostałem zatem odprawę niezaprawną miodem.

JULJUSZ *miarkując się*

Bynajmniej, musimy się tylko bliżej poznać.

Otto, który tymczasem rozmawiając z Dziunią wydobył i otworzył pudełko z brylantami, z dumą je pokazuje Dziuni, — Stefan wraca do Ireny, — Juljusz zbliża się do Stanisława.

DZIUNIA.

Ach jakie prześliczne!

OTTO.

Prawda, że mam gust dobry?

DZIUNIA.

Lepszy, niżby się spodziewać było można. I dla kogóż to?

OTTO.

Dla kogoś, co nie chciał przyjąć.

DZIUNIA.

To zadziwiające!

OTTO *uradowany*

Nie prawdaż pani?

DZIUNIA.

O tak, dziwić się trzeba, że takie piękne rzeczy rozdają tylko ci, od których przyjąć niepodobna.

OTTO *z gniewem do siebie*

Żmijka! *(Chowa gwałtownie pudełko).*

Z prawej strony wchodzi kapitan Radwan wraz z Malwiną.

SCENA XIII.

STANISŁAW, OTTO, STEFAN, IRENA, JULJUSZ, DZIUNIA, KAPITAN i MALWINA.

Osoby grupują się w następujący sposób: Stefan zostaje przy Irenie, Otto przechodzi do Stanisława, Dziunia do Juljusza, — kapitan ma przy boku Malwinę.

STANISŁAW *do kapitana*

Kochany ojcze, pozwól sobie przedstawić naszych nowych znajomych: są to sąsiedzi, panowie...... *(Otto i Stefan kłaniają się).*

KAPITAN *kiwając ręką, przerywa*

Wiem, wiem, nie potrzebujesz wymieniać nazwiska. A co za interes sprowadza tych panów w tak krótkim czasie po raz drugi do nas?

Chwila milczenia ze strony Lerchów i Stanisława.

DZIUNIA *do Juljusza*

Oj będzie burza! Pan kapitan wygląda tak wojowniczo, jakby miał iść do szturmu.

STEFAN *opanowując zmięszanie*

Z tak zacnym domem chcieliśmy jako sąsiedzi zabrać bliższą znajomość.

KAPITAN.

Kłaniam uniżenie!

OTTO.

Zresztą w rzeczy samej traktujemy pewien interes z panem Stanisławem.

KAPITAN.

Interes? tak! dowiedziałem się coś o tem. Porzućmy zatem wszelkie dwuznaczniki.

OTTO *nabierając śmiałości*

Ja również sądzę, że to będzie najlepiej. Każda sprawa zyskuje, jeśli jest postawioną odrazu jasno i wyraźnie. Afery trzeba traktować rozumnie z kredką w ręku, bez wszelkich sentymentów.

KAPITAN *do Ottona pogardliwie*

Nie pytałem pana o zdanie. *(Do Stanisława)* Stanisławie! takeś dotrzymał swych obietnic?

STANISŁAW.

Mój ojcze!

KAPITAN.

Nie tłómacz się! Cios, który spotyka mnie, starca, stojącego nad grobem, nie da się słowami odwrócić. Czemuż dożyłem tej chwili!

STANISŁAW.

Nie mów tak ojcze! jeszcze nie wszystko stracone.

KAPITAN.

Łudziłeś mnie zbyt długo, teraz ci nie uwierzę. Wiem, że dziś czy jutro, czeka nas niechybna ruina. Dębowiec, odwieczne gniazdo naszego rodu, przejdzie w ręce najzaciętszych wrogów naszych. Wyrzucą nas jak dziadów z tej ziemi, której bronić było pierwszym naszym obowiązkiem!

STANISŁAW.

Do tego nie przyjdzie!

OTTO *do Stanisława*

Daj pan pokój. Lepiej, że widzi rzeczy w prawdziwem świetle, — prędzej się zgodzi na nasz projekt.

KAPITAN.

Ojcowie nasi ciężko zawinili i my gorzko pokutujemy za ich grzechy. Lecz sami co lepszego robimy? Oni zatracili całość naszej ojczyzny, a my ją roztrwaniamy po kawałku. Cóż zostawimy następcom naszym? Wstyd i nędzę. Wyzuci z dawnych swych

siedzib, prawi dziedzice tej ziemi, służyć tylko będą spanoszonym przybyszom, rozpościerającym się z dumą w ich ojcowiznie, lub co gorsza, tułać się będą bez schronienia, przepędzani z miejsca na miejsce, wyrzucani z granic własnego kraju, wyjęci z pod opieki powszechnego prawa, które dziś nawet zwierzęta pod obronę bierze. A czyż to się już nie dzieje teraz? Depczą nas, znieważają, zaprzysięgają z góry zagładę, a my, miasto się bronić, dopomagamy sami do tego dzieła zniszczenia! *(Chwieje się, Malwina go podtrzymuje).*

MALWINA.

Uspokój się mój ojcze!

STEFAN.

Jaki szlachetny ogień w tym rycerskim starcu! Pojmuję jego boleść.

OTTO.

Strata fortuny zawsze jest bolesną, jednakże zamiast rozpaczać i wyrzekać, lepiej jest myśleć o sposobie zaradzenia.

KAPITAN *z ironią*

Sposób zaradzenia? — a tak, podobno go mój syn z panami wynalazł.

OTTO.

Wszystko się może dobrze ułożyć, a raczej już się ułożyło.

KAPITAN.

Ułożyło się bezemnie, bez mojej wiedzy i woli! Żeby ratować pozory, syn mój zgodził się na niegodny handel własną krwią i honorem rodu!

STEFAN *z gestem rozpaczy*

Mój Boże!

STANISŁAW *błagalnie do ojca*

Chciałem ci oszczędzić boleści.....

KAPITAN.

Gotując jeszcze cięższą sercu mojemu! — Nie, stokroć razy nie! Wolę raczej na stare lata wziąć w rękę kij żebraczy i prosić o litość przechodniów, niż widzieć moją wnuczkę, sprzedaną z ciałem i duszą!

OTTO.

Pan kapitan za tragicznie bierzesz tę sprawę. Wielkie nieszczęście, że się ci młodzi ludzie pobiorą! zupełnie dobrana z nich para....

KAPITAN.

Są przepaści, które ich dzielą od siebie.

OTTO.

Przesądy i duma szlachecka.

KAPITAN.

Mylisz się pan. Nauczyliśmy się już cenić ludzi według wewnętrznej wartości a nie według pochodzenia. Gdyby zacny i pracowity syn polskiego chłopa potrafił zyskać miłość mojej wnuczki, nie miałbym

nic przeciwko temu. Ale tu o wzajemnem uczuciu nawet mowy być nie może. Ci panowie mają pieniądze, mogą zadość uczynić swej próżności. Zachciało im się umeblować dom polską szlachcianką, więc ją kupują, jak niewolnicę na publicznym targu.

Irena zakrywa twarz rękami.

STEFAN.

Panie kapitanie, przez litość!....

KAPITAN *przerywając*

Szkoda słów.

IRENA *ze łzami*

O dziadku!

KAPITAN *z rzewnością*

Dziecię moje! i tyś się mogła zgodzić bez miłości, bez przekonania, na pierwsze skinienie oddać rękę Niemcowi! Zapomniałażeś o godności dziewiczej, o obowiązkach Polki. Czyżeś nie pomyślała o tem, że ty, dziedziczka starożytnego imienia Radwanów, wnuczka żołnierza, który przelewał krew swą za ojczyznę, możesz wydać dzieci, które nie będą potem umiały po polsku, i doczekać się synów, którzy staną w szeregu prześladowców twojej narodowości!

IRENA *zrywając się i biegnąc ku kapitanowi*

Dziadku! masz szłuszność, — jestem winną, zapomniałam wtedy o wszystkiem, — myślałam tylko o tobie! *(Rzuca się kapitanowi w objęcia).*

JULJUSZ *do Dziuni*

Jestem poruszony do głębi... ale pani płaczesz? *(Dziunia po cichu mu odpowiada).*

STEFAN *na stronie*

Jaka ona zachwycająca! Jak jej do twarzy z tą dumą obrażonej królowej!

OTTO *do osłupiałego Stanisława*

A to istny melodramat! I cóż pan na to?

STANISŁAW.

Cóż ja mogę!

Otto wzgardliwie rusza ramionami.

IRENA *zwracając się do Stefana*

Przebacz panie Stefanie, że zrobiłam ci nadzieję, która się ziścić nie może. Zresztą, nie możesz mi brać tego za złe. Nie zadałeś sobie nawet trudu, aby zbadać moje uczucia lub wyjawić mi swoje. Traktowałeś rzecz całą przez brata po kupiecku, — interes się rozchwiał, więc nie mamy nic sobie do wyrzucenia.

STEFAN.

Zniszczyłaś pani całe szczęście moje, ale szczęścia tego nie byłem godny. Pobudki, jakie panią skłaniają do zerwania, budzą we mnie tylko cześć i uwielbienie. Bądź szczęśliwą, jak na to zasługujesz!

OTTO.

Ten chłopak oszalał!

STEFAN.

Bracie, jesteśmy tu zbyteczni, czas nam wracać do domu.

OTTO.

Ja raz rozpoczętej sprawy nie puszczam z rąk tak łatwo.

STEFAN.

A więc ja odchodzę. Żegnam państwa! *(Obdziela głębokim ukłonem całe towarzystwo i wychodzi spiesznie przez drzwi w głębi).*

KAPITAN *patrząc za odchodzącym Stefanem*

W tym chłopcu jest coś szlachetnego.

SCENA XIV.

Ciż sami oprócz STEFANA.

OTTO.

Brat mój wziął zbyt na seryo te wszystkie piękne sentymenty, ale ja nie w ciemię bity, domyślam się o co chodzi państwu. Po bliższym namyśle nie odpowiadają wam nasze warunki. To się da jeszcze zmienić. Gotów jestem do dalszych ustępstw.

MALWINA *do kapitana*

Należałoby go wyprosić za drzwi.

JULJUSZ *występując naprzód*

Jak pan śmiesz obrażać zacnych ludzi tak ubliżającem przypuszczeniem!

OTTO.

Po co się pan mięszasz w nieswoje rzeczy! Pan tu nie masz żadnego prawa. Ja się odwołuję do pana Stanisława i do panny Ireny.

STANISŁAW.

Czyż pan nie widzisz, że już wszystko skończone. Oświadczyła to moja córka, a ja godzę się w zupełności na jej postanowienie.

OTTO.

Więc to ostatnie słowo?

STANISŁAW.

Ostatnie!

OTTO *wybuchając*

To tak! uwodziliście nas daremnie, a teraz z lekceważeniem odrzucacie młodego, ładnego chłopca, który jest wart już trzykroć stotysięcy talarów, a w nadziejach dwa razy tyle; myślicie może, iż znajdziecie dla swej dziewczyny jaką świetniejszą partyę? Ale teraz polscy książęta goli, hrabiowie goli, no i szlachcice goli! A jak się pokaże wkrótce, że wasze państwo poszło z dymem, to któż ją weźmie, przyzwyczajoną do zbytku żebraczkę?

JULJUSZ.

Znajdą się tacy! *(zwracając się kolejno do kapitana, Stanisława i Ireny)* Panie kapitanie, panno Ireno! Pozwólcie w tak trudnej chwili sięgnąć po to szczęście i zaszczyt, abym mógł stać się członkiem waszej

rodziny, pomagać wam i wspólnie z wami bronić zajętych stanowisk. Panie Stanisławie, proszę o rękę twej córki!

DZIUNIA *z entuzyazmem*

To pięknie, to bardzo pięknie! Czyn prawdziwie godny pana Juljusza.

KAPITAN.

Poczciwy chłopiec! Krew Porajów nie zawodzi.

MALWINA.

Spodziewałam się tego.

JULJUSZ.

Cóż, nie odepchniecie mnie?

KAPITAN.

Nie spotkasz się pewnie z opozycyą. *(Bierze Irenę za rękę i przyprowadza do Juljusza).* Weź ją i uczyń szczęśliwą. Połączonemi siłami, będziemy sobie dawać jakoś radę.

JULJUSZ.

I pomagać jedni drugim.

OTTO *wybuchając śmiechem*

Das ist kolossal! Bankrutowi chce przychodzić w pomoc drugi taki sam bankrut. Echte polnische Wirtschaft!

JULJUSZ.

Panie Lerche, jesteś w tym domu gościem, ale nie zapominaj, że i polska gościnność ma swoje granice!

OTTO.

Rozumiem co to znaczy, ale zapłacicie mi za wszystkie zniewagi! Z torbami was wyprawię! *(Ciszej)* Verfluchte Kerle!

KAPITAN *z groźnym ruchem ręki, na cały głos i tupając nogą*

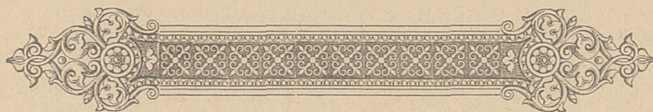
Wynoś się!

OTTO.

Odchodzę, ale powrócę tu panem! *(Wybiega drzwiami w głębi).*

Koniec aktu II.





AKT TRZECI.

(Scena przedstawia ogród, na przodzie z lewej strony ławeczka, w głębi po prawej altanka; za podniesieniem zasłony, na ławeczce siedzi Dziunia zamyślona z otwartą książką, której jednak nie czyta; z prawej strony wchodzi Malwina i staje przed Dziunią).

SCENA I.

MALWINA i DZIUNIA.

MALWINA.

Co się z tobą dzieje dziewczyno? Zmieniłaś się nagle do niepoznania. Ustały śmiechy, śpiewy, szczebioty, — chowasz się tylko po kątach smutna i osowiała. Ot i teraz wyglądasz jakbyś płakała przed chwilą.

DZIUNIA.

Czytam właśnie zajmującą powieść i ta mnie do łez pobudziła.

MALWINA *biorąc od niej książkę*

Pięknie czytasz, trzymając książkę do góry nogami.

DZIUNIA.

Zamyśliłam się ciotuniu.

MALWINA.

Właśnie to mnie zastanawia, że się ciągle zamyślasz i popłakujesz na boku.

DZIUNIA *wstając z ławeczki*

Ależ ja nie płaczę, nie kryję się po kątach, nie jestem smutną; przeciwnie, jestem zadowoloną, bardzo zadowoloną, gotowa jestem tańczyć, śpiewać i śmiać się jak nigdy. *(Śmieje się przymusowo).*

MALWINA.

Nie udawaj, bo tego nie potrafisz. Śmiech twój nie idzie ci z serca. Ej Dziuniu, ty coś kryjesz przedemną, — dawniej nie miałaś żadnych tajemnic.

DZIUNIA.

Jakieżbym mogła mieć tajemnice?

MALWINA.

A któż to wie? Może ci się pan Juljusz za bardzo podobał.

DZIUNIA.

Czy mi się podobał lub nie, co to kogo może teraz obchodzić. Ożeni się z Ireną i będą oboje szczęśliwi, a ja także będę szczęśliwą! *(Urywanym głosem)* Będę bardzo, bardzo szczęśliwą! *(Łzy jej głos tamują).*

MALWINA.

Piękne mi szczęście, co się z góry płaczem wyraża.

DZIUNIA.

E! bo ciocia taka niedobra, zadaje mi dziwne pytania. Na co się zdało pytać teraz? *(Ucieka, tłumiąc płacz).*

SCENA II.

MALWINA sama.

Masz tobie. Dziewczyna widocznie także się zakochała w Juljuszu. Dotąd nie zdawała sobie sprawy ze swych uczuć. Wyobraziła sobie nawet, że Irena powinna iść za Juljusza i dopiero jak ta myśl widome przybrała kształty, zbudził się w niej żal i zazdrość. Przybywa nowa troska, a i tak w tym domu wszystko rozbite, jak po przegranej bitwie! Ojciec po żołniersku ukrywa swą boleść, ale znać, ile cierpi. Brat zgnębiony i upokorzony. Nawet Irena i Juljusz nie wyglądają na szczęśliwych oblubieńców. Ja sama niepewną teraz jestem, czym dobrze zrobiła.

Z głębi ogrodu wchodzi Irena z listem w ręku.

SCENA III.

MALWINA i IRENA.

IRENA.

Szukam cię droga ciociu, muszę się bowiem odnieść do ciebie w bardzo drażliwym przedmiocie.

MALWINA.

Cóż takiego?

IRENA.

Otrzymałam list.

MALWINA.

List — od kogo?

IRENA *nieśmiało*

Od pana Stefana Lerche.

MALWINA.

On pisze do ciebie?

IRENA.

Tak, — niech ciocia przeczyta. *(Podaje list Malwinie, która wydobywa z kieszeni okulary i zakłada).*

MALWINA *czyta*

Opuszczając na zawsze te strony, nie chciałbym zostawić w pamięci pani zbyt wstrętnego wspomnienia. Radbym przeto usprawiedliwić się osobiście z tego wszystkiego, co zaszło i przeprosić za wyrządzone przykrości. Jeżeli zatem pani uznasz za stosowne darować mi chwilę rozmowy w obecności szanownej panny Malwiny, będę to uważał za najwyższą a ostatnią łaskę. W razie pomyślnej odpowiedzi, nie śmiejąc już przekroczyć progów domu, stawię się w ogrodzie.

Z najgłębszą czcią
Stefan Lerche.

MALWINA *skończywszy czytanie, z mimowolnem westchnieniem*

Biedny chłopiec! List napisany z godnością i w dobrym tonie. Tylko żądanie trochę ekscentryczne.

IRENA.

Ja to samo myślałam i dla tego przyszłam poradzić się cioci, co zrobić w tym razie.

MALWINA *zakłopotana*

Ja nie wiem sama; może najlepiej nic nie robić.

IRENA.

Posłaniec czeka na odpowiedź.

MALWINA *jeszcze bardziej zakłopotana*

Czeka? a to kłopot prawdziwy!

IRENA.

Chyba mu oświadczyć, że nie dostanie odpowiedzi.

MALWINA.

To byłoby za szorstko, za okrutnie. Odtrącać tak wzgardliwie jego chęć usprawiedliwienia się przed nami, to znowu nie wypada. Zresztą on tak dalece niczem nie zawinił. Powiadają, że wolno kominiarzowi kochać się w królowej angielskiej!

IRENA.

Więc cóż mam zrobić?

MALWINA.

W tem cała trudność. *(Podnosi do oczu list i odczytuje go powtórnie po cichu. Sama do siebie)* Opuszcza nasze strony na zawsze... żąda tego jako ostatniej łaski... rozmowa w mojej obecności... *(Zwraca się do Ireny wahająco)* Słuchaj Irenko!

IRENA.

Słucham cioci.

MALWINA *nieśmiało i zakłopotana*

Czy bardzoby ci przykrem było... *(Urywa i zatrzymuje się).*

IRENA.

Co takiego?

MALWINA *zdobywając się na odwagę*

Zobaczyć jeszcze raz ostatni tego młodego człowieka?

IRENA.

Przykrem? tego nie mogę powiedzieć.

MALWINA.

No, to dobrze. Bo widzisz moja droga, mnie żal trochę biedaka. Musiał cię prawdziwie kochać. W całej sprawie zachował się bardzo przyzwoicie, po cóż ma odpowiadać za brata? Nie mogłaś pójść za niego, to widoczne, lecz dla czego nie rozstać się przyjaźnie?

IRENA.

Więc ciocia sądzi, że można zgodzić się na jego prośbę?

MALWINA.

Jeżeli tylko ty nie masz nic przeciw temu?

IRENA.

Ja nie. Ale pan Juljusz może nam wziąć za złe. Nie jestem już zupełną panią swej woli.

MALWINA.

Pan Juljusz posiada nadto wiele rozumu i serca, żeby się miał tem zgorszyć. Zresztą jesteś jeszcze pod moją opieką i ja odpowiadam.

IRENA.

Więc zgoda! należy tylko dać znać przez posłańca.

MALWINA.

Poczekaj, — tobie samej odpisywać nie wypada, zatem ja odpowiem w twojem i mojem imieniu.

IRENA.

Dobrze ciociu.

MALWINA.

Chodź, wystylizujemy jak należy. *(Odchodzą na lewo. — Z prawej strony wchodzi Stanisław pogrążony w myślach, za nim wbiega Juljusz).*

SCENA IV.

STANISŁAW i JULJUSZ.

JULJUSZ *wołając*

Panie Stanisławie! szukałem pana wszędzie.

STANISŁAW *odwracając się*

Czy się panu co zdarzyło? Jakie nieszczęście? Jesteś tak zmięszany.

JULJUSZ.

To rzecz niesłychana! To przechodzi wszelkie pojęcie!

STANISŁAW.

Cóż takiego?

JULJUSZ.

Ni mniej, ni więcej, tylko dostałem rozkaz opuszczenia w ciągu trzech tygodni Księstwa i w ogóle monarchii pruskiej.

STANISŁAW.

Czy to możliwe!

JULJUSZ.

Urodziłem się przypadkiem w Królestwie, chociaż, jak pan wiesz, moja rodzina stale tu osiedlona. Skorzystano z tego wypadku i wyrzucają mnie z własnego domu i dziedzicznej wioski, odrywają od rodziny, przyjaciół, stosunków; każą mi porzucać rolę, młyn, interesy..

STANISŁAW.

Okropny cios dla pana i dla nas wszystkich!

JULJUSZ.

Na domiar złego, wypadek ten grozi mi ruiną. Interesy moje dość się powikłały przez wydatki, po-

czynione na ten młyn nieszczęsny. Gdybym miał kilka lat przed sobą, mógłbym odbić wkłady i ciągnąć już korzyści, ale tak, ponoszę olbrzymie straty.

STANISŁAW.

Zdaleka administrować młynem niepodobna, trzeba go będzie sprzedać, ratując Zakrzówek.

JULJUSZ.

Naturalnie, — innego wyjścia nie ma. Ale na poczekaniu o kupca nie łatwo. A jak się wierzyciele dowiedzą o mojem wydaleniu, rzucą się jak sępy i doprowadzą do przymusowej sprzedaży, — a wtedy nie tylko przedsiębiorstwo, ale i wioska przepadła z kretesem!

STANISŁAW.

Trzeba się przedewszystkiem starać o kupca na młyn i sprzedać go choćby z wielką stratą.

JULJUSZ.

Poczyniłem wszelkie kroki ku temu. Dałem pełnomocnictwo memu krewnemu, żeby sprzedał natychmiast, jeśli się kto trafi, nie odwołując się wcale do mnie. *(Z lewej strony wchodzi Malwina).*

SCENA V.

STANISŁAW, JULJUSZ, MALWINA.

STANISŁAW *do Malwiny*

Wiesz Malwino? pan Juljusz został wydalony.

MALWINA.

Żartujesz bracie!

JULJUSZ.

Niestety, smutna prawda.

MALWINA *osuwając się na ławeczkę*

A to istny koniec świata! Co oni z nami wyrabiają!

STANISŁAW.

Nie powiadaj tylko dziewczętom, po co je zawczasu martwić. Może się to da jako odrobić.

JULJUSZ.

Nie ma żadnej nadziei.

STANISŁAW.

Trzeba się odwołać do ministra. Chodź do mojej kancelaryi, napiszemy zaraz podanie.

JULJUSZ.

Na nic się to nie przyda. *(Po chwili)* Jednakże trzeba wyczerpać wszystkie środki. Chodźmy pisać. *(Odchodzą na prawo).*

SCENA VI.

MALWINA, później IRENA.

MALWINA *pozostaje na ławeczce zadumana*

„Nie było szczęścia w domu, bo go nie było w ojczyźnie“. Jaka to wielka prawda, którą powiedział Mickiewicz!

IRENA *nadchodząc*

Co powiedział Mickiewicz?

MALWINA.

Poezya, to nie dla ciebie, to rzecz wyszła z mody, dobra tylko dla takich jak ja starych panien.

IRENA.

Czy ciocia mnie uważa za niezdolną do ocenienia prawdziwych piękności i nieprzystępną dla głębszych uczuć?

MALWINA.

A kto was tam wie moje postępowe panny, co siedzi w waszem sercu! Jesteście zawsze jednakie, zimne i obojętne na wszystko. Gdy miałaś iść za Niemca wbrew swemu sercu, byłaś tak pogodną i spokojną, jakby to cię nic nie kosztowało. Teraz znowu, gdy się ten przykry związek zerwał i masz zaślubić człowieka którego kochasz, nie czuć w tobie żadnego rozpromienienia, nie widać w tobie odblasku szczęścia, który miłość rzuca. Wydajesz mi się zimniejszą i smutniejszą, niż przedtem.

IRENA *spokojnie*

Bo ja pana Juljusza nie kocham.

MALWINA *z największem zdziwieniem, żegnając się*

W imię Ojca i Syna i Ducha! Żartujesz chyba ze mnie dziewczyno?

IRENA.

Mam dla pana Juljusza dużo przyjaźni... ale nic więcej. Dobry z niego człowiek, wydaje mi się jednak zbyt zakochany sam w sobie.

MALWINA.

Więc pocóżeś go przyjęła?

IRENA.

Cóż miałam robić? Dotknięta do żywego wyrzutami dziadka, oburzona bezczelnością starszego brata, który śmiał podejrzewać, że chcemy wytargować lepsze warunki, zaskoczona przez niespodziane bohaterstwo pana Juljusza, występującego w roli zbawcy, znalazłam się w przymusowem położeniu. Wy wszyscy tak widocznie pragnęliście tego związku, pan Juljusz był tak pewnym, iż mnie uszczęśliwia, że nie pozostało mi więc nic, jak milczeć.

MALWINA.

Te dziewczęta to istne sfinksy! ani rusz je zrozumieć! *(Do siebie)* Wszystko się tak dziwnie splątało... i to z mojej przyczyny. *(Zamyśla się).* Irena... Dziunia... obie nieszczęśliwe. Oj, słusznie mogą powiedzieć, że stara panna głupstwo palnęła.

Nadchodzi szybko Stefan; Malwina i Irena, które nie zauważyły jego nadejścia, objawiają przestrach i zdziwienie.

SCENA VII.

MALWINA, IRENA, STEFAN.

MALWINA *zrywając się z ławeczki*

Ach to pan!

STEFAN.

Przestraszyłem panie.

MALWINA.

Nie spodziewałyśmy się tak prędko.

STEFAN.

Czekałem na odpowiedź tuż w pobliżu. Byłem tak niespokojny, czy mi wolno będzie widzieć się jeszcze z paniami.

IRENA.

Pan chcesz opuścić nasze strony?

STEFAN.

Nic mi nie pozostaje. Dotychczasowe węzły się zerwały. Straciłem wszystko: dom, brata, a co więcej, swoje miejsce wśród ludzi.

IRENA.

Jakto?

Malwina siada na ławeczce nieco w głębi i z boku, Stefan i Irena pozostają na przodzie sceny.

STEFAN.

Przez dłuższy czas nie zastanawiałem się zbyt głęboko nad tem, czem jestem. Różnice narodowe nie istniały dla mnie; zdawało mi się, że dość jest być człowiekiem, spełniającym swe zadanie, kochającym świat i wszystkich ludzi zarówno. Nosiłem nazwisko Lerche, stosunki rodzinne nadawały mi charakter więcej niemiecki, brat mój był nawet zagorzałym Prusakiem, a ja nie troszczyłem się o to. On był tak dobrym dla mnie, nie mogłem zbyt surowo sądzić jego pojęć i czynów.

IRENA.

Trudno surowo sądzić tych, co nas kochają.

STEFAN *z odcieniem radości*

Pojmujesz mnie pani. *(Po chwili prowadząc rzecz dalej)* Dopiero w ostatnich czasach rozpoczęła się walka w mej duszy. Dopiero gdy zobaczyłem, jak żelazna ręka zwycięzcy zaciężyła nad nieszczęśliwym a szlachetnym i wielkim niegdyś narodem, gdy się przekonałem, że lud niemiecki, ów lud myślicieli i poetów, który niósł niegdyś przed ludzkością światła pochodnię, upojony teraz szałem wielkości, znieważa poczucie prawa i ludzkości, gdy ujrzałem setki niewinnych rodzin oderwanych od cichej pracy, wygnanych w świat daleki, skazanych na nędzę — może na śmierć głodową, — gniewem i oburzeniem wzruszyło się aż do dna moje ludzkie sumienie. Dwoistość mego pochodzenia tem gwałtowniej na jaw wystąpiła. Krew matki dopomniała się o swe prawa, wołając: Niemcy silne i uciemiężające nie potrzebują ciebie! twoje miejsce w uciśnionych szeregu!

MALWINA *podbiegając z ławeczki do Stefana i wyciągając do niego obie ręce*

Szlachetny z pana człowiek! Czemużeśmy wcześniej tak dobrze pana nie poznały! *(Irena milczy ze spuszczonemi w dół oczyma).*

STEFAN *ciągnąc dalej*

Gdyście panie przybyły do huty, przemiana moja była prawie dokonaną. Z jakąż radością wewnętrzną

powitałem te Polki, o których nieraz marzyłem, a które dotąd były dla mnie nieprzebytym murem odgrodzone! Nie będę spowiadać się z wrażeń jakie odniosłem, bo opisywać uczucia, jak się rodzą, jak się potęgują i jak koncentrują w jeden punkt pragnienia całego życia, to rzecz niemożliwa! *(Patrzy przeciągle na Irenę).*

IRENA *zmieszana*

Po co pan to mówisz teraz?

STEFAN.

Bo nie chcę, byś mnie fałszywie sądziła. Powiedziałaś mi pani wczoraj krwawe słowo: żem cię chciał kupić jak towar! To było niesprawiedliwem. Ja nie pragnąłem nic, tylko oszczędzić wam zmartwień. Wiedziałem, że mój brat nosi się z zamiarem nabycia Dębowca. Naparłem się mu towarzyszyć, chcąc zobaczyć cię jeszcze, a przytem dopilnować, aby Otto nie wywierał nacisku. Gdy zrozumiałem położenie, nalegałem na niego, aby się cofnął. On, nie mogąc pojąć żadnych wyższych, bezinteresownych motywów, wpadł na myśl, że cię kocham... co zresztą było prawdą.

IRENA *do siebie*

Więc on mnie naprawdę kocha!

STEFAN.

Wtedy w głowie mego brata powstał ten projekt małżeństwa. Nie opierałem się zbyt stanowczo, bo sądziłem, że zyskamy przez to czas do obmyślenia środków, któreby mogły uratować rodzinne wasze

gniazdo. W moich oczach byłabyś jednak zawsze wolną i nigdybym nie śmiał narzucać ci tak wstrętnego związku!

IRENA *do siebie*

Jestem związana, nie mogę mu nawet zaprzeczyć.

STEFAN.

Miałaś pani dowód na to. Wszakże ani jednem słowem nie zdradziłem przed tobą moich uczuć, nie chciałem dotknąć cię żadnem pragnieniem, żadną skargą zakłócić twego spokoju. Chciałem tylko do czasu mieć prawo przychodzić z radą i braterską pomocą. Być może, łudziłem się marzeniem jakiego cudu, któryby skłonił twoje serce ku mnie, gdy poznasz bliżej prawdę i siłę mego uczucia, — ależ to nie mogło być zbrodnią!

IRENA *do siebie*

Co ja mu mogę powiedzieć nieszczęśliwa!

STEFAN.

Spotkała mnie niezasłużona wzgarda. Nie wystawisz pani sobie ile cierpiałem, słysząc surowe słowa kapitana, które mnie piętnowały jak na pręgierzu! W duchu przyznawałem mu słuszność, odczuwałem prawdę jego wyrzutów, podniosłość jego boleści, szlachetność jego oburzenia — i były chwile, w których już chciałem krzyknąć: Nie odpychajcie mnie, i ja jestem waszym! i ja się czuję Polakiem!

Malwina łzy ociera.

IRENA.

Czemużeś pan tego nie uczynił?

STEFAN.

Nie mogłem. Nie pozwalała mi własna godność. Możnaby mnie było posądzić, że nie z przekonania, lecz dla osiągnięcia osobistego szczęścia zmieniam narodowość, jak niewygodną odzież. Odstępstwem kupować twą rękę, pani, byłoby równie niegodnem, jak kupować ją pieniędzmi. Dla tego milczałem wtedy. Dziś, kiedy wszystko skończone, gdy los mój rozstrzygnięty i kto inny ma cię poślubić, dziś mogę śmiało powiedzieć: Bóg wasz jest moim Bogiem i wasza ojczyzna jest moją!

MALWINA *do siebie*

Dzielny chłopak! doprawdy chciałabym go uściskać.

IRENA *do Stefana wzruszonym głosem*

Przebacz mi pan, żem cię niesłusznie skrzywdziła. Nie mogłam wiedzieć.... Miałam jakieś wewnętrzne przeczucia, które mnie skłaniały ku panu.... ale zbieg okoliczności... pozory... dziadek, — stało się, co się stać musiało. Trzeba nam się rozstać. *(Z coraz większą miękkością, stłumionym głosem)* Ale rozstańmy się jak przyjaciele... jak dobrzy przyjaciele!... *(Wyciąga do Stefana rękę, który ją chwyta i całuje).*

STEFAN.

Żegnam panią na zawsze!

MALWINA.

To słowo brzmi zbyt smutno. Ja mówię: do widzenia! *(Wyciąga rękę).*

IRENA *kryjąc wzruszenie*

Ciociu, musimy odejść. *(Ochodzi z Malwiną na lewo, — Stefan patrzy za odchodzącemi, potem zdąża w tym samym kierunku, staje w kulisach i patrzy w głąb za niemi, może nawet zejść z oczu widzów, — z prawej strony wchodzi Juljusz, za nim wkrótce służący z listem w ręku).*

SCENA VIII.

JULJUSZ, SŁUŻĄCY.

SŁUŻĄCY.

Konny posłaniec z Zakrzówka przyniósł ten list od pana plenipotenta. Podobno bardzo pilny.

JULJUSZ *biorąc list*

Cóż to być może? czy nowe jakie nieszczęście? *(Otwiera list, służący odchodzi. Czyta)* „Kochany Juljuszu! Pospieszam ci donieść niespodziewaną, a nadzwyczaj dobrą wiadomość. Młyn sprzedany!“ *(Przerywając czytanie, do siebie)* Czy być może? to cud prawdziwy! *(Czyta dalej)* „Ale to nie dość że sprzedany, trzeba jeszcze wiedzieć jak świetnie. Ja sam sądzę, że kupujący nie był przy zdrowych zmysłach. Wystaw sobie, że po spłaceniu długów, zostanie nam jeszcze pięćdziesiąt pięć tysięcy na czysto“. *(Przerywając czytanie)* Ależ to szaleniec! Byłbym szczęśliwy, gdyby go kto nabył za cenę odpowiadającą długom. *(Czyta dalej)* „Interes już skończony zupełnie, pieniądze wypłacone, są w mych rękach. — Nowy nabywca nazywa

się Stefan Lerche". *(Mnie gwałtownie list w ręku).* Z jego łaski dostałem taką cenę! Nie mogę na to przystać!

Stefan wychodzi z kulis, zmierzając ku prawej stronie, zkąd przyszedł.

SCENA IX.

JULJUSZ, STEFAN.

STEFAN *ukazując się na przodzie*

Goniłem ją wzrokiem i myślami. Tak mi trudno oderwać się od tych miejsc!

JULJUSZ *spostrzegając Stefana, idzie urażony i gniewny*

A, pan tutaj? Dobrze że go spotykam, oszczędza mi to trudu jechania do Górki.

STEFAN.

Masz pan do mnie jaki interes?

JULJUSZ.

Zakupiłeś mój młyn?

STEFAN.

Wszakże był do sprzedania?

JULJUSZ *z drażliwością*

Zapłaciłeś za niego znacznie po nad wartość.

STEFAN *zimno*

Zapłaciłem, ile wart był dla mnie.

JULJUSZ.

Zrobiłeś mi podarunek z kilkudziesięciu tysięcy talarów.

STEFAN.

Nie sądzę.

JULJUSZ *zapala się stopniowo coraz bardziej*

Chciałeś mnie upokorzyć i ośmieszyć w oczach wszystkich!

STEFAN.

Nie miałem tego zamiaru.

JULJUSZ.

Lecz rezultat byłby taki. Ja nie mogę na to pozwolić. Nie mogę przyjmować jałmużny!

STEFAN.

Żałuję, że pan tak rzeczy bierzesz, ale cóż na to mogę poradzić?

JULJUSZ.

To kupno jest nieprawidłowe i nieważne.

STEFAN.

W oczach moich jest zupełnie ważnem.

JULJUSZ.

Jam nie sprzedawał!

STEFAN.

Ale sprzedawał ten, co miał pańskie pełnomocnictwo. To na jedno wychodzi.

JULJUSZ.

Bądź co-bądź, ta sprzedaż musi być cofniętą. Pan zechcesz odebrać swoje pieniądze.

STEFAN *spokojnie lecz stanowczo*

Tego nie uczynię.

JULJUSZ.

Mój honor jest zaangażowany!

STEFAN.

Mój także.

JULJUSZ *wybuchając gniewem*

Panie Lerche! nie narzucaj mi swoich dobrodziejstw, których przyjąć nie mogę. Inaczej będę musiał...

STEFAN.

Co pan będziesz musiał?

JULJUSZ.

Poszukiwać tego na panu jako krwawej obrazy!

STEFAN *zniecierpliwiony*

Grozisz pan?

Dziunia ukazuje się w głębi sceny i słucha.

JULJUSZ.

Będę żądał honorowego zadośćuczynienia!

STEFAN.

Co? pojedynek?

JULJUSZ.

Tak. Ale dla pana może to niedorzeczny przesąd?

STEFAN.

Zapewne że niedorzeczny, szczególniej w tym razie.

JULJUSZ.

Panie!

STEFAN *unosząc się*

Uspokój się pan. Nie jestem wprawdzie zwolennikiem średniowiecznych zwyczajów, lecz jeśli pan tego wymagasz, będę się rąbał i strzelał, póki z nas jeden nie zginie.

Dziunia wpada między Juljusza i Stefana.

SCENA X.

STEFAN, JULJUSZ, DZIUNIA.

DZIUNIA *z przerażeniem*

Panowie chcecie się bić! — ja na to nie pozwolę!

JULJUSZ.

Zkąd pani ta myśl przyszła?

DZIUNIA.

Jam dobrze słyszała, że jeden zginąć musi. Ja nie chcę, żeby pan Juljusz zginął!

STEFAN.

Życzenie pani będzie dla mnie rozkazem.

DZIUNIA *wybuchając*

Proszę nie żartować ze mnie! To pan jesteś niedobry. Zjawiłeś się, aby nas wszystkich unieszczęśliwić! Pókiś nie przybył, tak tu było wszystko pogodnie, wesoło, a teraz wszyscy smutni, nawet Irenka łzy ukradkiem ociera. A jak pan jeszcze zabijesz pana Juljusza... *(urywa płacząc).*

JULJUSZ.

Panno Dziuniu, przyjdź do siebie, proszę cię; szkoda łez twoich. Nie zrozumiałaś dobrze o co cho-

dzi. Zostaw nas samych, nic się nam złego nie stanie, zaręczam.

DZIUNIA *do Juljusza*

Chcesz pan mnie uspokoić tylko.

STEFAN.

Możemy zaprzysiądz, że nie posiadamy żadnej broni przy sobie.

Juljusz bierze Dziunię za rękę, odprowadza w głąb, rozmawia chwilę po cichu, poczem Dziunia odchodzi, a Juljusz wraca do Stefana.

SCENA XI.

STEFAN, JULJUSZ.

STEFAN.

Widzisz pan, że szanse są nierówne: zanadto wiele osób płakałoby po panu, a mnieby nikt nie żałował.

JULJUSZ.

Więc cofnij pan narzucone mi dobrodziejstwo.

STEFAN.

Panie Juljuszu, pomówmy otwarcie. Być może, zawiniłem, nie uwzględniwszy dostatecznie pańskiej drażliwości, ale bynajmniej nie chciałem cię obrazić. Młyn, który nabyłem, wart jest dla mnie tyle, ile zapłaciłem; możesz być pewnym, że nie stracę na nim.

JULJUSZ.

Można go było kupić dwa razy taniej.

STEFAN.

Nie przeczę: gdybym chciał wyzyskiwać majątkowe położenie, — ale czyż sądzisz, że drażliwość honorowa waszym jest tylko przywilejem, a mnie już nie wolno rządzić się szlachetniejszemi pobudkami? Mój brat postanowił was zniszczyć, moim obowiązkiem uratować.

JULJUSZ.

Lecz zkądże ja mam być przedmiotem pańskiej pieczołowitości?

STEFAN.

Chciej mnie zrozumieć. Kochamy obydwaj pannę Irenę, nieprawdaż? Celem więc każdego z nas zapewnić jej szczęście i spokój. Mnie osobiście nie wolno nic dla niej zrobić. A pan masz nietylko prawo, ale obowiązek! Podjąłeś się w stanowczej chwili zabezpieczyć ją przed przeciwnościami losu, zapewnić spokój rodziny, odwrócić najstraszniejszy cios, wiszący nad głową starca, ocalić dziedziczną ziemię; czybyś się nie naraził na słuszny zarzut lekkomyślności, gdybyś nie podołał zadaniu?

JULJUSZ.

To prawda, — nie pomyślałem o tem. *(Do siebie)* Ten człowiek ośmieszył mnie we własnych oczach!

STEFAN.

Niech więc fałszywy punkt honoru nie przeszkadza panu w spełnieniu powinności! Za sześćdziesiąt tysięcy talarów, pozostałych ze sprzedaży młyna, wy-

kupisz weksle, będące w posiadaniu mego brata i ocalisz Dębowiec. — Cóż, zgoda?

JULJUSZ.

Upokorzyłeś mnie, ale i przekonałeś. Będziesz miał wkrótce i moją odpowiedź! *(Ściska Stefana za rękę i oddala się żywo na lewo. Stefan pozostaje pogrążony w myślach. — Z prawej strony nadchodzi Otto).*

SCENA XII.

STEFAN i OTTO.

OTTO.

Dowiedziałem się, że jesteś w dębowieckim ogrodzie, i nie zważając na nic, przybyłem, żeby cię powstrzymać od dalszych głupstw!

STEFAN.

Niepotrzebnie się trudziłeś: zdaje się, że po tem, co zaszło między nami.....

OTTO.

Uniosłem się może zanadto, ale twoje postępowanie mogłoby i świętego wyprowadzić z cierpliwości. Podniosłeś bez wiedzy mojej pieniądze i trwonisz je, aby ratować polskich bankrutów. Czy kto widział co podobnego!

STEFAN.

Zrobiłem to, co uważałem za stosowne.

OTTO.

Zwaryował, na czysto zwaryował! *(Zwracając się żywo do Stefana)* Czy ty chłopcze straciłeś wszelkie

poczucie godności? Pogardzili tobą, obeszli się obelżywie, wygnali z domu, a ty lgniesz jeszcze do nich. Czy to nie wstyd, po takiej jakąś dostał odprawie, błądzić tu jeszcze w pobliżu twej Dulcynei, która się z ciebie natrząsa! Czyż nie pojmujesz, jak śmieszną odgrywasz rolę?

STEFAN.

Pozwól mi o tem mieć sąd własny.

OTTO.

Nigdy nie przypuszczałem, żeby tak rozumny człowiek mógł uledz podobnemu obłędowi. Mniejsza już o to, że trwonisz pieniądze, że się stajesz śmiesznym, ale co znaczą twoje polskie fantazye? Czyż to jest możliwe, żebyś ty, brat Ottona, syn Fryderyka Lerche, miał się sprzeniewierzyć swojej wielkiej ojczyźnie?

STEFAN.

Mojej ojczyźnie? lecz któraż jest moją?

OTTO.

Jak ty śmiesz o to pytać! Wszyscy Lerchowie byli Prusakami i wiernymi synami Niemiec. Czyżby się miał znaleźć między nimi odstępca?

STEFAN.

A matka moja czyż nie była Polką?

OTTO *wzgardliwie*

Była nią, lecz cóż to znaczy! Co może zaważyć jej pochodzenie wobec naszej dziejowej kultury i po-

tęgi państwowej? Rasa niższa musi ustępować przed wyższą. Pomyśl tylko, czy można się wahać w wyborze: z jednej strony zjednoczone Niemcy, panujące nad Europą, cywilizacya, wielkość, dobrobyt, a z drugiej co? upadły narodek, wijący się w prochu pod stopą zwycięzcy, przesądy, ciemnota, nędza. Przy nas jest siła, armia, przymierza mocarstw, słowem, świat cały, a z nimi kto?

STEFAN.

Tylko szlachetni!

OTTO *nie zważając*

I ty dobrowolnie chciałbyś się wyrzec znaczenia, jakie posiadasz będąc członkiem wielkiego narodu i zejść między tych paryasów i nędzarzy, dzielić ich wstyd i poniżenie? Pomnij, że to niknąca garstka prześladowanych niewolników, których my w zwycięzkim pochodzie zdepczemy — stratujemy!

STEFAN.

Wolę stać w prześladowanych, niż w prześladowców rzędzie.

OTTO.

Twoje ostatnie słowo?

STEFAN.

Ostatnie!

OTTO *łagodniej, z pewnym oddźwiękiiem serdeczności*

A jednak ja cię wychowałem, byłem dla ciebie dobrym zawsze bratem, kochałem cię może nawet, a ty mi tak odpłacasz?

STEFAN *wzruszony*

Bracie! Po cóż nas mają dzielić jakieś zapory narodowych uprzedzeń — wszyscy jesteśmy braćmi, którzy powinni kochać się nawzajem. Niemiec, Polak, Francuz, Anglik, to tylko pojedyncze tony, z których się powinna składać harmonia ludzkości. Pozostań przy swych przekonaniach i pozostaw mnie przy moich. Ty Niemiec, a ja Polak, możemy podać sobie dłonie i kochać się jako ludzie, jako bracia!

OTTO *gwałtownie*

Nie, nigdy! albo wyrzeczesz się swych szaleństw, — albo....

STEFAN.

Cóż?

OTTO.

Albo wszystko między nami zerwane!

STEFAN *po chwili — z odcieniem żalu*

Chcesz koniecznie. Niechże więc i tak będzie.

OTTO.

Nie mam już brata! *(Wybiega pospiesznie na prawo).*

SCENA XIII.

STEFAN *sam, powtarzając ze smutkiem*

I ja nie mam już brata, — nie mam nikogo, coby mnie kochał!... A jednak nie czuję się zgnębionym! Będę służył ojczyźnie tej, która mnie cierpieniem swojem przykuła do siebie, będę pukał do serc no-

wych braci, a może znajdę które otworem dla siebie. — Ale teraz trzeba opuścić te miejsca, trzeba wyjeżdżać jak najprędzej! *(Chce odchodzić).*

Podczas ostatnich słów Stefana, z głębi wychodzą kapitan z Ireną i Juljuszem.

SCENA XIV.

STEFAN, KAPITAN, IRENA, JULJUSZ, później MALWINA z DZIUNIĄ.

KAPITAN *z udaną surowością do Stefana*

Stać! zatrzymaj się pan, nie puścimy tak łatwo. Przekradłeś się do twierdzy bez mojej wiadomości, przeto biorę ciebie jako jeńca w niewolę i stawiam pod sąd wojenny.

STEFAN *zmięszany*

Panie kapitanie, przebacz!

KAPITAN.

Juljuszu i ty Ireno, przyprowadzić jeńca.

Juljusz bierze za rękę Stefana i prowadzi do kapitana.

JULJUSZ *salutując po wojskowemu*

Oto jest kapitanie.

KAPITAN.

Stefanie Lerche, skazuję cię na dożywotne więzienie u mojej wnuczki.

STEFAN.

Czy to żart? czy mi się w głowie mięsza!

KAPITAN *uśmiechając się*

Winowajca stoi skruszony i przerażony wyrokiem; — nałożyć mu okowy! *(Bierze rękę Ireny i kładzie w dłoń Stefana).*

STEFAN *upojony*

Panie kapitanie, panno Ireno, czyż to możliwe!

KAPITAN.

Patrzaj, ta niepoczciwa dziewczyna zakochała się w tobie i nie chciała się przyznać, ta hypokrytka.

STEFAN *do Ireny*

Mamże wierzyć szczęściu memu?

KAPITAN.

To samo możeby mnie nie rozbroiło, ale miałeś najgorętszego rzecznika w Juljuszu, który dla ciebie dał odkosza Irence i porobił ważne zeznania. *(Stefan biegnie do Juljusza, z którym ściska się za ręce).* Prócz tego Malwina nie dała mi spokoju, opowiadając czem właściwie jesteś. Widocznie zakochała się także w tobie, — będziesz miał kłopot wyboru.

MALWINA *która nadeszła z Dziunią podczas słów kapitana*

Co też ojciec mówi! takie żarty!

KAPITAN.

No, nie gniewaj się, jestem w dobrym humorze. Odbić tak dzielnego chłopca wielkiej niemieckiej ojczyznie, to tryumf nielada! — Ale co mam zrobić z Juljuszem, który naraz stracił młyn i narzeczoną? ten z rozpaczy gotów się powiesić....

MALWINA.

Cóż znowu!

KAPITAN *kończąc*

Na szyi innej młodej osóbki... a wiem o takiej, którąby nic nie miała przeciw temu.

DZIUNIA.

Dziadku, jak można!

KAPITAN.

Uderz w stół, nożyce się odezwą. No, nie wstydź się. *(Prowadzi ją do Juljusza)*. Za dwa lata sprawimy wam wesele.

DZIUNIA *śmieje się.*

A poprzestaniesz pan na sianku, gdy zabrano owies?

Juljusz caluje ją w rękę.

Koniec aktu III i ostatniego.



